

GŁOS UCZELNI



UNIWERSYTET
PRZYRODNICZY
WE WROCŁAWIU

MAGAZYN UNIWERSYTETU PRZYRODNICZEGO WE WROCŁAWIU
► ISSN 1233-4790 ► nr 222 ► maj 2015 r.

70 lat wrocławskiej Weterynarii

► 10-23



WYRÓŻNIENIE, MOBILIZACJA, ZOBOWIĄZANIE

Rozmowa z profesorem
Zygmuntem Pejsakiem

► 4-9

BEZ ROZWIĄZAŃ SYSTEMOWYCH NIEWIELE NAM SIĘ UDA

O umiędzynarodowieniu
uczelni

► 24-27

MUSIMY BYĆ AMBITNI

Od innowacyjności
polskiej gospodarki
zależy nasza przyszłość

► 31-35

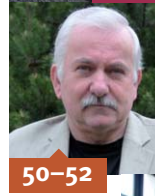
ŻADNE CZARY-MARY

Geokompozyty
podbiją świat?

► 36-39

Na okładce:

Badanie diagnostyczne
– wrocławska Weterynaria dysponuje
sprzętem najwyższej klasy



Doktorat honoris causa: **WYRÓŻNIENIE, MOBILIZACJA, ZOBOWIĄZANIE**

Rozmowa z profesorem ZYGMUNTEM PEJSAKIEM, doktorem honoris causa UPWr

WYWIAD
4-9

Wrocławska Weterynaria świętuje 70. urodziny **MIĘDZY TRADYcją A PRZYSZŁOŚCIĄ**

TEMAT NUMERU
10-15

Nerona – angelka uratowana przed rzeźnią

JEJ DZIECI POBIEGNĄ W NASZYCH BARWACH!

TEMAT NUMERU
16-17

„Głos Uczelni” – magazyn Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu
ISSN 1233-4790, nr 222/2015, nakład: 1000 + 15 egz.

Wydawca:
Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu

Redaktor prowadząca:
Katarzyna Kaczorowska „Gazeta Wrocławska”

Kontakt do redakcji:
katarzyna.kaczorowska@up.wroc.pl,
dorota.sikora@up.wroc.pl,
martyna.jablonska@up.wroc.pl

Adres redakcji:
Biuro Informacji, Promocji i Rekrutacji UPWr,
ul. Norwida 25, 50-375 Wrocław,
tel. 71 320 54 98

Autorzy numeru:
Jolanta Cianciara, Anna Fastnacht-Stupnicka,
Martyna Jabłońska, Katarzyna Kaczorowska
„Gazeta Wrocławska”, dr hab. Krzysztof Kubiak,
Dorota Sikora, Małgorzata Świąder,
prof. Wojciech Zawadzki

Fotografie:
Tomasz Lewandowski, Marta Nowakowska,
Magdalena Ojak, archiwum prywatne
prof. Zygmunta Pejsaka, archiwum UPWr,
Fotolia, PAP

Projekt, skład:
Beata Poźniak

Druk: Beta-druk, 55-200 Olawa, Lizawice 12

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów
i publikacji materiałów w dogodnym czasie.
Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja nie ponosi odpowiedzialności
za treść zamieszczonych reklam.

Redakcja „Głosu Uczelni” Uniwersytetu
Przyrodniczego we Wrocławiu
dzięki dyrekcji Muzeum Miejskiego
Wrocławia za udostępnienie zdjęć miasta
z 1945 roku.

Byliśmy biedni, ale nie brakowało nam
jednego...

ENTUZJAZMU

Profesor RYSZARD BADURA o początkach
nauki polskiej we Wrocławiu 1945 roku

TEMAT NUMERU
18-23

Umiędzynarodowienie
polskich uczelni?

BEZ ROZWIĄZAŃ SYSTEMOWYCH NIEWIELE NAM SIĘ UDA

Rozmowa z profesorem ANDRZEJEM
DRABIŃSKIM, prorektorem ds. rozwoju
Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu

WYWIAD
24-27

Związki uczelni jako opcja
dla tworzenia „uniwersytetu
badawczego”

KRAKÓW PIERWSZY

Jest potencjał do awansu, ale...

Rozmowa z doktorem JANEM SADLAKIEM,
prezydentem IREG Observatory on Academic
Ranking and Excellence

NAUKA I BIZNES
28-30

Od innowacyjności polskiej
gospodarki zależy nasza przyszłość

MUSIMY BYĆ AMBITNI

Rozmowa z ŁUKASZEM JASKIEM,
kierownikiem Sekcji Programowania i Polityki
Unii Europejskiej Narodowego Centrum Badań
i Rozwoju



WYWIAD
31-35

O wyzwaniach na miarę
nowej rzeczywistości

Profesor TADEUSZ TRZISZKA,
prorektor ds. nauki i innowacji

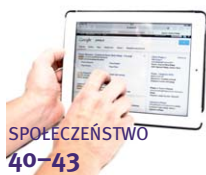


Kiedy inżynieria środowiska znajduje
zastosowanie w domowym ogródku,
na wielkiej plantacji i na pustyni

ŻADNE CZARY-MARY, TYLKO PRAWDZIWI WYNALEZKI

Doktor KRZYSZTOF LEJCUŚ o geokompozytach

NAUKA I BIZNES
36-39



SPÓŁECZEŃSTWO
40-43

**Koniec studiów to dopiero początek.
Co o nim wiemy?**

PROJEKT ABSOLWENT

Nasza uczelnia będzie monitorować zawodowe losy swoich studentów

**Dwie strony dydaktyki,
czyli jak ściągają studenci i...**

KTO JEST NAJWIĘKSZĄ KOSĄ

Profesor BARBARA „KOSA” KOSOWSKA wymaga jednego: myślenia

OBYCZAJE
44-47

**Będą studia podyplomowe
z gerontologii?**

STAROŚĆ MOŻE BYĆ PIĘKNA

Profesor BARBARA KWIATKOWSKA o wyzwaniach demograficznych i wynikających z nich zmian społecznych i zawodowych

SPÓŁECZEŃSTWO
48-49

**Profesor MAREK WOJCIECH LORENC
przypadkiem tłumaczy wiele zdarzeń
w swoim zawodowym życiu, ale...**

...NIC NIE DZIEJE SIĘ PRZYPADKIEM

SYLWETKA
50-52



SPÓŁECZEŃSTWO
53-55

**Tradycja i nowoczesność,
czyli biblioteka akademicka
KSIĄŻKI MUSZĄ BYĆ W RUCHU**

Dyrektor Biblioteki Głównej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu BARBARA BARAŃSKA-MALINOWSKA tłumaczy, czym jest nowoczesna biblioteka akademicka

**PARTYCYPACJA,
czyli nic o nas bez nas**

Budżety obywatelskie to już nie tylko moda. To sposób na budowanie świadomego społeczeństwa

SPÓŁECZEŃSTWO
56-59



SYLWETKA
60-63

**Rodzina Kopciów:
z Wileńszczyzny do Wrocławia
SKARBY DOMOWEGO BIURKA**

Prezentujemy fragment książki ANNY FASTNACHT-STUPNICKIEJ *Saga wrocławska*

**Rekordowa aukcja charytatywna
i wielkie emocje**

VI KONCERT NOWOROCZNY ZALICZAMY DO UDANYCH

Otworzyliśmy serca i portfele dla Wrocławskiego Hospicjum Dziecięcego

KRONIKA WYDARZEŃ
64-65

Styczeń–kwiecień 2015

DZIAŁO SIĘ...

Fotoreportaż z życia uczelni

KRONIKA WYDARZEŃ
66-70



SZANOWNNI PAŃSTWO,

Benjamin Britten, wielki współczesny kompozytor, powiedział coś, co jest nierozdzielnie związane z pracą każdego naukowca: „Z nauką jest jak z wiosłowaniem pod prąd. Skoro tylko zaprzestaniesz pracy, zaraz spycha cię do tyłu”.

Wiosłujemy pod prąd codziennie, próbując zgłębiać sprawy jeszcze niezgłębione, wrywając naturze jej tajemnice, odstawiając procesy, tłumacząc zjawiska, znajdując rozwiązania spraw przez wieki nierozwiązywalnych. Czy świat istniałby bez nauki? Oczywiście, że tak, ale o ileż uboższe bez niej byłoby nasze życie i jak miatka byłaby egzystencja sprowadzona tylko do trwania.

Wszyscy znamy powiedzenie „kto pyta, nie błądzi”. Ja bym dodał „kto szuka, ten znajdzie”.

Takim człowiekiem nieustannie stawiającym pytania i szukającym na nie odpowiedzi jest Profesor Zygmunt Pejsak, któremu z wielką dumą i radością Uniwersytet Przyrodniczy przyznał tytuł doktora honoris causa.

Nie będę wyliczał imponującego dorobku Profesora, przeczytacie o nim Państwo w tym numerze „Głosu Uczelni”. Chcę za to podkreślić, że ten doktorat ma dla nas wiele znaczeń. Przyznajemy go w wyjątkowy jubileusz 70-lecia Wydziału Medycyny Weterynaryjnej, który zbiega się z 70-leciem nauki polskiej we Wrocławiu. Ale też przyznajemy go naszemu absolwentowi, naukowcowi, który nigdy nie zerwał więzi ze swoją *Alma Mater*, który naszym studentom i doktorantom zawsze służy wsparciem, a za zaangażowanie w życie naukowe Wydziału nie tylko zbierał od nas koleżeńskie podziękowania, ale otrzymał też wyróżnienie.

Chciałbym napisać – Drogi Zygmuncie – bo z Profesorem Zygmuntem Pejsakiem znamy się wiele lat i są to lata przyjaźni i współpracy na polu zawodowym – jestem dumny, że przyjmujesz od swojej uczelni zaszczytny tytuł doktora honoris causa i to w tak szczególnym momencie, kiedy przypominając przeszłość, myślimy o przyszłości.

Albert Einstein twierdził: „Najpiękniejszą rzeczą, jakiej możemy doświadczyć, jest oczarowanie tajemnicą. Jest to uczucie, które stoi u kolebki prawdziwej sztuki i prawdziwej nauki. Ten, kto go nie zna i nie potrafi się dziwić, nie potrafi doznawać zachwyty, jest martwy, niczym zdmuchnięta świeczka”.

Zachwycajmy się więc tajemnicami nauki, które są do poznania. I oby nam i Tobie, Drogi Zygmuncie, tego zachwyty nigdy nie zabrakło.

Profesor ROMAN KOŁACZ
Rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu

Doktorat honoris causa: WYRÓŻNIENIE, MOBILIZACJA, ZOBOWIĄZANIE

Rozmowa z prof. ZYGMUNTEM PEJSAKIEM, Przewodniczącym Rady Naukowej Państwowego Instytutu Weterynarii w Puławach, absolwentem Akademii Rolniczej we Wrocławiu i doktorem honoris causa Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, kierownikiem Zakładu Chorób Świń

••• Jaka jest siła polskiej weterynarii?

– Ogromna. Rośnie też jej prestiż, choć moglibyśmy oczekiwać wyższej pozycji, biorąc pod uwagę na przykład wielkość naszego kraju.

••• Nie umiemy się wypromować?

– Dopiero od 25 lat tak naprawdę jesteśmy w Europie. I dopiero od ćwierć wieku możemy w sposób otwarty, na partnerskich zasadach, współpracować z zachodnimi instytutami, wydziałami czy placówkami badawczymi. Moim zdaniem, powinniśmy więc raczej pytać o siłę oddziaływania naszych lekarzy weterynarii, którzy pracują w Anglii, Irlandii, Niemczech czy Hiszpanii.

••• Strefa wpływu jest zbyt mała, ale za to siła realnego oddziaływania znacznie większa?

– Właśnie tak. Mamy bardzo dobrych lekarzy weterynarii, nie zwykle pracowitych, bardzo dobrze wykształconych, pracujących dużo intensywniej niż koledzy z Zachodu. To jeden z naszych najlepszych „towarów” eksportowych. Ale na przykład w kształceniu dość późno – w porównaniu z krajami zachodniej Europy – dostrzegliśmy konieczność specjalizacji.

••• Dlaczego?

– Bo jest ona ściśle powiązana z udziałem naszej produkcji zwierzęcej w Europie.

••• To znaczy?

– To znaczy, że efektywność i wydajność naszej produkcji zwierzęcej w zakresie przede wszystkim produkcji trzody chlewnej i mleka nie mieści się w czołówce krajów unijnych. A przełożenie jest proste: wymagający hodowca chce najlepszego, świetnie wykształconego lekarza, który zadba o jego stado.

••• Przeciętnemu człowiekowi weterynarz kojarzy się z lekarzem, który leczy koty i psy, a Pan mówi o wysokiej klasy specjalistach potrzebnych w szeroko rozumianym obszarze produkcji żywności. W jakim momencie w Polsce doszło do tego specjalistycznego podziału?

– Wszystko zdeterminował rynek. Zapotrzebowanie na usługi związane z opieką weterynaryjną nad małymi zwierzętami jest tak duże, że większość polskich lekarzy weterynarii zajmuje się kotami, psami, gołębiami i zwierzętami egzotycznymi. I w obrębie tego obszaru pojawiają się specjalizacje.



Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że doszliśmy do sytuacji, w której zwierzęta towarzyszące leczone w dobrych klinikach mają niejednokrotnie bardziej kompleksową i profesjonalną opiekę niż ludzie.

Szczególne osiągnięcia naukowe prof. Zygmunta Pejsaka:

- Wyizolowanie po raz pierwszy w Polsce parwowirusa świń oraz opracowanie diagnostyki laboratoryjnej potwierdzającej zakażenia tym wirusem, a ponadto opracowanie metody swoistej immunoprofilaktyki.
- Opracowanie produkcji tkankowej szczepionki przeciwko klasycznemu pomorowi świń o nazwie Celpest. Szczepionka ta zastąpiła dotychczasową szczepionkę produkowaną z wykorzystaniem zwierząt laboratoryjnych (królików). Badania z tego zakresu uzyskały międzynarodowe uznanie, czego wyrazem było utworzenie w Zakładzie Chorób Świń referencyjnego laboratorium ds. klasycznego pomoru świń.
- Wykazanie istotnej roli w etiologii zespołu bezmleczności poporodowej świń endotoksynnych *E. coli*, co pozwoliło na opracowanie i wdrożenie rodzimej szczepionki Suimastivac (prod. Biowet).
- Wykazanie, że zakaźne zanikowe zapalenie nosa u świń jest chorobą o etiologii zakaźnej o zróżnicowanej odpowiedzi na stosowane szczepionki. Badania z tego zakresu pozwoliły na opracowanie szczepionki Rhinovac (prod. Biowet), opartej na toksynotwórczych szczepach *Pasteurella multocida* i *Bordetella bronchiseptica*.
- Wykazanie w pionierskich badaniach znaczenia zakażeń rotawirusami przy udziale pętelki okrężnicy w etiologii biegunek u nowo narodzonych prosiąt oraz u prosiąt w okresie odsadzenia. Efektem tych badań było m.in. opracowanie szczepionki Rotavac.
- Ustalenie etiologii zapalenia mózgu i zapalenia stawów u młodych świń i udowodnienie istotnego znaczenia przy występowaniu tej choroby zakażeń paciorkowcami. Badania nad etiologią i patogenezą tej choroby pozwoliły na opracowanie produkcji szczepionki Strep-tovac (prod. Biowet).
- Opracowanie metod rozpoznawania pleuropneumonii świń, a także opracowanie swoistej immunoprofilaktyki w postaci szczepionki Pleurovac (prod. Biowet), a także biopreparatu Aptovac.
- Wykrycie po raz pierwszy w Europie Centralnej zakażeń świń wirusem PRRS powodującym występowanie zespołu rozrodzo-oddechowego u tego gatunku zwierząt, a także wykazanie różnic między szczepami europejskimi a amerykańskimi tego wirusa. Wyniki tych badań zyskały międzynarodowe uznanie, czego efektem było utworzenie w Zakładzie Chorób Świń, na wniosek Światowej Organizacji Zdrowia Zwierząt, pierwszego na świecie referencyjnego laboratorium ds. rozpoznawania i zwalczania PRRS. W badaniach tych udowodniono także bezcelowość szczepienia w Polsce świń szczepionkami amerykańskimi.
- Opracowanie naukowych podstaw programu uwalniania Polski od choroby Aujeszkyego.
- Opracowanie metod laboratoryjnych pozwalających wykrywać zakażenia bakteriami *Lawsonia intracellularis* oraz cirkowirusami u świń, a także opracowanie metod postępowania immunoprofilaktycznego przy tych zakażeniach. Prace nad tymi patogenami pozwoliły na opisanie po raz pierwszy występowania w Europie centralnej takich chorób, jak poodsadzeniowy wielonarządowy zespół wyniszczający świń oraz enteropatii krwotocznej.
- Opracowanie metod laboratoryjnych rozpoznawania zakażeń wirusem afrykańskiego pomoru świń u świni domowej i dzików.
- Wykazanie immunosupresyjnego efektu bakterii *Mycoplasma hyopneumoniae* oraz immunostymulującego efektu u świń wybranych szczepów bakterii *Propionibacterium spp.*
- Przeprowadzenie epidemiologicznej analizy występowania grypy świń w Polsce.
- Opracowanie kilku nowych leków, preparatów oraz środków dezynfekcyjnych przeznaczonych do terapii chorób świń oraz stosowanych w profilaktyce (Suibicol, Aliosept, Dezosan Vigor, Salmacid).



Są kardiologzy, alergologzy, rentgenologzy... Lekarze muszą być coraz lepiej wyspecjalizowani, także z powodu wspomnianej konkurencyjności. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że doszliśmy do sytuacji, w której zwierzęta towarzyszące leczone w dobrych klinikach mają niejednokrotnie bardziej kompleksową i profesjonalną opiekę niż ludzie.

••• Rozumiem, że jak coś Panu dolega, to dzwoni Pan do kolegi weterynarza?

– Dzwonię, żeby porozmawiać, ale niekoniecznie o moich problemach zdrowotnych (*śmiech*). Lekarze weterynarii muszą dzisiaj zabiegać o klienta. Jeśli pani kot czy pies zachoruje nagle, to weterynarz mu pomoże nawet o północy. Oczywiście nadrzędnym celem jest wyleczenie zwierzęcia, ale ważne jest też to, żeby pani wróciła do specjalisty, któremu zaufała. Ba, idąc dalej, zwróciła pani uwagę, że wyposażenie klinik weterynaryjnych jest dzisiaj porównywalne z wyposażeniem niektórych szpitali? A kultura usług jest na najwyższym poziomie. Trzeba być jednak przygotowanym na to, że specjalizowanie się ogromnego odsetka lekarzy weterynarii zajmujących się zwierzętami towarzyszącymi będzie mieć poważne skutki – za chwilę zacznie nam brakować specjalistów przygotowanych do pracy na przykład z bydłem, a więc w ważnym dziale produkcji zwierzęcej.

••• Jeśli zacznie ich brakować, to wtedy ta specjalizacja stanie się bardziej atrakcyjna.

– To nie jest takie proste. Lekarz weterynarii zajmujący się zwierzętami hodowlanymi musi mieszkać na wsi i być dyspozycyjny 24 godziny na dobę. Musi mieć siłę, bo często jest to praca po prostu nie tylko piekielnie wymagająca i absorbująca, ale też ciężka. A my wszyscy staliśmy się wygodni. Tak jest już obecnie w krajach zachodniej Europy i lukę – jak na razie – wypełniają nasi lekarze, ale proszę mi wierzyć, za chwilę sami będziemy potrzebowali specjalistów i już należałoby zacząć nie tylko o tym mówić, ale też przekonywać młodych do tego, że praca na wsi jest atrakcyjna.

••• Tak słucham Pana i zastanawiam się, czy weterynarz powinien lubić zwierzęta.

– Każdy lekarz weterynarii, który pracuje ze zwierzętami, musi je lubić. To trudny pacjent. Nie powie, co mu dolega. I dlatego każdy z nas musi być interdyscyplinarny, całe życie się uczyć i pracować ze zwierzętami, bo tylko w ten sposób zdobywa się umiejętność odczytywania wysyłanych przez nie sygnałów.

••• A jakie zwierzęta Pan lubi?

– Oczywiście świnie, bo jestem z nimi związany od 40 lat. I uważam, że maciora z prosiętami to niezwykle zjawisko.

••• Dlaczego?

– Bo to fantastyczna matka. Musi się zaopiekować 16 prosiętami naraz, bo dzisiaj w jednym miocie jest ich od 12 do 16. Po czterech tygodniach każde z tych prosiąt osiąga wagę około 7 kilogramów, czyli w ciągu miesiąca ich matka musi wyprodukować ogromną ilość mleka (16 razy 7). Wiedziała pani, że maciora karmi co pół godziny, przywołując prosięta do siebie?

••• Jestem z miasta i świnki widziałam tylko na obrazkach. Jak je woła?

– Wydając odpowiednie dźwięki.

••• Rozpoznaje swoje dzieci?

– Oczywiście, a dzieci rozpoznają matkę, ba, każde prosię biegnie do swojego sutka. Te pierwsze są najbardziej wydajne, a więc najlepsze i to z nich korzystają najsilniejsze w miocie prosięta. Do hodowcy należy więc wyrównanie różnic, a do lekarza dbanie o zdrowie tych zwierząt. Przeciętny zjadacz chleba myśli, że lekarz weterynarii jest od tego, żeby leczyć świnię. Otóż nie. My powinniśmy zrobić wszystko, żeby zwierzęta nie chorowały, a to oznacza, że naszym zadaniem jest profilaktyka. Dla przykładu na grypę szczepi się proporcjonalnie dużo więcej świń niż ludzi. Immunoprofilaktyka jest u zwierząt znacznie bardziej powszechna. Dzisiaj lekarz weterynarii musi wyprzedzać chorobę, zwracać uwagę na konieczność przestrzegania zasad bioasekuracji, etc. W sumie dobry lekarz rzadko leczy, bo jego stado nie choruje, a on zarabia przede wszystkim na tym, że utrzymuje je w optymalnym zdrowiu.

••• Dlaczego właściwie wyspecjalizował się Pan w świniach?

– Jak to często bywa, zdecydował przypadek. Kiedy kończyłem studia, to może jeden lekarz na 30 zajmował się pieskami i kotkami. Wszyscy pozostali zajmowali się zwierzętami użytkowymi, a więc byłem, trzodą chlewną i drobiem. Ja marzyłem o pracy z końmi. Ale po uzyskaniu dyplomu poszedłem do pełnomocnika do spraw zatrudnienia, a on skierował mnie do Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej w Chojnowie, bo potrzebowali kogoś do opieki nad odchowanymi zwierzętami zarodowymi.

••• Uznał Pan, że to życiowa szansa?

– Byłem młody, pełen zapału i energii! Od początku bardzo spodobała mi się praca w terenie i rzeczywiście polubiłem świnię. Przez pierwsze cztery lata pracowałem jak klasyczny lekarz weterynarii z dawnych filmów. Jeździłem z kuferkami po chlewniach, opiekowałem się zwierzętami zarodowymi. Równocześnie wtedy, na początku lat 70. ubiegłego wieku, przyjęto w Polsce program rozwoju produkcji trzody chlewnej. Zdecydowano tym samym o budowie wielkotowarowych ferm. Na Dolnym Śląsku, w Rokitykach koło Legnicy, powstała pierwsza z nich. A jak powstała, to powiatowy lekarz weterynarii powiedział do mnie: „wiesz co, pracujesz już z tym ga-

tunkiem, to cię przenoszę i będziesz pracował na największej w Polsce fermie świń”.

••• Jak dużej?

– Bardzo dużej. Nikt nie wiedział, jak pracować ze stadem, w którym było 800 loch, czyli razem z prosiętami około 15 tysięcy świń. Wszystkiego musiałem się uczyć sam, ale też miałem ogromny poligon doświadczalny. Byłem z tymi świniami codziennie od rana do wieczora. Uczyłem się, czym jest duże stado, bo naprawdę 15 tysięcy świń to nie to samo co 10.



Świnia domowa – *Sus scrofa f. domestica*. Pochodzi od dzika europejskiego. Według części badaczy domestykacja tego gatunku nastąpiła 12 700–13 000 lat p.n.e., w dorzeczu Eufratu i Tygrysu, a więc na terenie późniejszej Mezopotamii. Według archeologów z Durham University w Wielkiej Brytanii pierwsze świnię przywędrowały do Europy ze Środkowego Wschodu wraz z rolnikami z epoki kamiennej, ok. 6800–4000 lat temu. I dopiero po ich przybyciu rozpoczął się proces udomowienia dzika

••• Jakie miał Pan problemy?

– Duże zagęszczenie, inna transmisja czynnika zakaźnego, inne warunki środowiskowe. Zwierzęta powszechnie chorowały na choroby układu oddechowego i pokarmowego. Trzecim obszarem były problemy związane z ich dobrostanem.

••• Nie trzeba dużej wyobraźni, żeby stwierdzić, że było im źle w tej gigantycznej chlewni.

– No nie najlepiej. Trafiły z wybiegów, gdzie mogły ryc, a to jedno z ulubionych zajęć świń, na beton. Były trzymane na łańcuchach, praktycznie bez możliwości ruchu. Tylko nieliczni mówili wtedy o cierpieniu zwierząt hodowlanych. Ogromna większość zarządzających patrzyła na nie tylko przez pryzmat produkcji mięsa. Ale fermy przemysłowe, istniejące w nich warunki, spowodowały w Europie Zachodniej wiele protestów – szczególnie aktywni byli w tym zakresie Zieloni w Niemczech – a powstanie ruchów domagających się poprawy stanu bytowania zwierząt rzeźnych było na pewno potrzebne. Za to dziś są normy unijne regulujące, co w zakresie dobrostanu zwierzętom się należy. Teraz lekarze weterynarii walczą o dobrostan zwierząt aż do uboju i czasem mam wrażenie, że bardziej myślimy o komforcie życia świni, a mniej o komforcie pracy człowieka pracującego w chlewni.



Prof. dr hab. ZYGMUNT PEJSAK

Ma 67 lat. W 1972 roku ukończył Wydział Medycyny Weterynaryjnej Akademii Rolniczej we Wrocławiu. Od tego czasu współpracuje z nim nieprzerwanie, uczestnicząc w licznych wykładach dla studentów (również na studiach podyplomowych), recenzując prace doktorskie i osiągnięcia naukowe w przewodach habilitacyjnych oraz w postępowaniach o tytuł profesora, a także działając w Konwencji Uniwersytetu Przyrodniczego. Tę aktywność wyróżniono w 2013 roku, przyznając mu statuetkę Sapere auso.

Jego doświadczenie praktyczne w zakresie hyopatologii, uzyskanie stopnia doktora, staż w Iowa State University docenił prof. Marian Truszczyński, dyrektor Państwowego Instytutu Weterynaryjnego w Puławach, który w 1980 roku zatrudnił prof. Pejśaka, a ten w 1984 roku uzyskał stopień doktora habilitowanego nauk weterynaryjnych, a w 1990 tytuł profesora.

Zygmunt Pejśak od ponad 33 lat kieruje w PIW Zakładem Chorób Świń. W maju 2015 r. został doktorem honoris causa Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

••• Udało się Panu połączyć pracę w terenie z nauką. Czy to było trudne?

– Znów miałem szczęście. Miałem już doświadczenie w pracy terenowej na fermie w Rokitykach, kiedy zaproponowano mi udział w programie wymiany i wyjechałem do Stanów Zjednoczonych. Tam pół roku pracowałem na fermie podobnej do tej polskiej, a potem zaproponowano mi pracę naukową na uczelni. I to było naprawdę niesamowite zderzenie – połączenie tych dwóch z pozoru różnych, ale jednocześnie ściśle ze sobą powiązanych światów, bo przecież efekty pracy naukowej przekładały i przekładają się na działania czysto praktyczne, na fermach małych i dużych.

••• Doktorat honoris causa to taka wisienka na torcie?

– Hm, mam zaszczyt jeden taki tytuł już posiadać i nie osiadłem na laurach, ba, powiedziałbym nawet, że tytuł ten zmobilizował mnie do jeszcze bardziej intensywnej pracy.

••• Ale takie wyróżnienie przyznane przez uczelnię, której jest się absolwentem to...

– ...coś wyjątkowego. Swoi wiedzą o człowieku wszystko, znają na wylot jego słabości i dobre strony, więc przyznam, że taki honor od własnej *Alma Mater* to ogromne wyróżnienie.

Z RECENZJI DOKTORATU HONORIS CAUSA

Prof. IRENEUSZ ŁAKOMY,
Redaktor naczelny „Polish Journal of Veterinary Science”

„ (...) Pełnienie jakichkolwiek funkcji wymaga bowiem olbrzymiego zaangażowania, indywidualnej inwencji twórczej i odpowiedzialności. Jak widać, sprawując różne funkcje Prof. Z. Pejsak nigdy nie zawiódł oczekiwań Jego wyborców bądź instytucji, które powoływały go do odpowiednich organów. Innymi słowy – Prof. Z. Pejsak utwierdzał i utwierdzi zawsze swoich zwolenników i przełożonych w przekonaniu, iż dokonywali oni właściwego wyboru.

Wzbudzać musi podziw, iż Kandydat pełniąc liczne funkcje kontynuuje od lat wraz ze swoim zespołem badania naukowe, których znaczenie doceniane jest nie tylko w Polsce, ale także za granicą. Z pewnością Profesor jest uznanym międzynarodowym autorytetem naukowym. Prawie cały dorobek naukowy związany jest z badaniami z zakresu rozpoznania patogeny i zwalczania chorób zakaźnych i warunkowo zakaźnych świń. Na dorobek ten składa się 150 prac oryginalnych, 26 monografii, 8 podręczników, kilkadziesiąt publikacji popularnonaukowych oraz 257 doniesień na kongresy, sympozja, zjazdy, konferencje naukowe. Dorobek ten to także zasługa Jego współpracowników, co Profesor z uzasadnioną dumą podkreśla. (...)

Te nieprzeciętne osiągnięcia na wielu polach aktywności zawodowej świadczą dowodnie o tym, iż Prof. Z. Pejsak należy do ścisłej czołówki uczonych reprezentujących zawód lekarza weterynarii zarówno w Polsce, jak i poza Polską. Reprezentuje on nas w wielu różnych gremiach współkształtujących i współdecydujących m.in. o poziomie nauk weterynaryjnych, o wysokim poziomie potrzebnym do zdobycia stopni i tytułów naukowych czy też o poziomie studentów – przyszłych lekarzy weterynarii. Nie można przecenić znaczenia działalności naukowej Kandydata dla celów praktycznych w hodowli świń, a także w zapobieganiu chorobom tych zwierząt.

nie i w pełni przedstawia sylwetkę ocenianego. Ocena ta dotyczy bowiem postaci powszechnie znanej, ogólnie szanowanej, dotyczy naukowca o wyjątkowo bogatym i uznanym dorobku. W swojej ocenie daleki jestem do osiągnięcia tego celu, niemniej wydaje mi się, że najważniejsze osiągnięcia Kandydata do tytułu i godności doktora honoris causa Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu w pełni uzasadniają przyznanie Jemu przez Senat Uczelni tego najwyższego wyróżnienia akademickiego. Jestem też głęboko przekonany, że poczet doktorów honorowych Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu powiększy się o osobę przynoszącą mu nie tylko wiele satysfakcji, ale także poczucie dumy z dobrze dokonanego wyboru.

Prof. zw. dr hab. dr h.c. WŁODZIMIERZ KLUCIŃSKI
Wydział Medycyny Weterynaryjnej
SGGW w Warszawie

„ W całokształcie dotychczasowego dorobku zawodowego na podkreślenie zasługuje wysoki, zarówno pod względem liczbowym, jak i jakościowym, dorobek naukowy uznany w kraju, jak i za granicą, wykształcenie licznej kadry naukowej, imponująca działalność organizacyjna, a także aktywność dydaktyczno-szkoleniowa upowszechniająca wśród lekarzy praktyków, zootechników i hodowców osiągnięć nauki. (...)

Prof. Z. Pejsak jest autorem lub współautorem 154 oryginalnych prac naukowych, które ukazały się drukiem w latach 1976–2014. Ponadto opublikował w tym okresie 549 prac popularnonaukowych, a także był autorem lub współautorem 257 doniesień naukowych na krajowe i międzynarodowe kongresy. Na podkreślenie zasługuje również opublikowanie 8 podręczników. Do najwybitniejszych pozycji opublikowanych w języku polskim należy zaliczyć *Choroby świń*, a także *Ochrona zdrowia świń*. (...)

Imponujący wkład prof. Z. Pejsaka w rozwój nauk weterynaryjnych nie tylko na polu samego Instytutu, w którym pracuje od 35 lat, ale także w skali całego kraju i poza jego granicami. Funkcje, które pełnił i które obecnie pełni, w znaczący sposób przyczyniają się do rozwoju nauk weterynaryjnych, a także podnoszenia ich prestiżu wśród innych dziedzin nauki.

Prof. dr hab. ANDRZEJ KONCICKI
Wydział Medycyny Weterynaryjnej
Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie

„ Każdy, kto podejmie próbę oceny dorobku prof. dr. hab. dr. h.c. Zygmunta Pejsaka, musi zadać sobie pytanie, czy ocena taka wier-

••• Co Pan ceni w swojej pracy najbardziej?

– Wszystko. Kontakt ze wspaniałymi ludźmi i przede wszystkim to, że przez całe życie mogę się rozwijać, tworzyć i zajmować się tym, co w obszarze chorób świń uważam za najważniejsze. Cenię sobie również to, że dzięki mojej pracy lekarze weterynarii korzystają ze szczepionek i leków, które opracowałem, a nasz przemysł bioweterynaryjny podjął się ich produkcji. Cenię sobie także i to, że dzięki temu, że jestem naukowcem, mam szansę współpracować z kolegami z całego świata.

••• Taką dobrą robotą jest też słynna konferencja nazywana w branży „Pejsakówką”. Aż mnie korci, by zapytać, czy goście dostają na niej po butelce pejsakówki na pamiątkę?

– Nie, ale może to dobry pomysł na gadżet pamiątkowy (*śmiech*). Bo na samej konferencji, na którą zjeżdża 1200 osób z Europy Środkowej, nie ma czasu na życie towarzyskie, ot, można przysiąc, porozmawiać 10–15 minut i tylko tyle. W czasie tej, jak ją nazywają „Pejsakówki”, jest mnó-

stwo zajęć, proszę mi wierzyć, to ogromne przedsięwzięcie organizacyjne, a ci, którzy przyjeżdżają na konferencję, chcą z niej wyjechać z konkretną wiedzą. Dzisiaj czas jest bardzo cenny, a im jestem dojrzały, tym bardziej zdaję sobie z tego sprawę. Już wiem, że wszystko, co się robi, trzeba realizować z poczuciem sensu, ale też i tak, by się nie wstydzili, nie żałować i przede wszystkim mieć poczucie satysfakcji.

••• Smakuje Pan życie?

– Bardzo. Choć cały czas jestem w biegu i nie mam zbyt wiele możliwości rozsmakowania się.

••• Czego nauczyły Pana ulubione zwierzęta, świnię?

– Tego, że do wszystkiego się dojrzeźwa, bo nawet świnia dojrzeźwa do macierzyństwa. Ja matką nie będę (*śmiech*), ale zaręczam, pani redaktor, że od zwierząt każdy z nas może nauczyć się bardzo dużo. Trzeba tylko być uważnym obserwatorem, mieć w sobie ciekawość i być otwartym na to, co nowe, czego nie znamy i co może nam przynieść jutro. •

Wrocławska Weterynaria świętuje 70. urodziny

MIĘDZY TRADYCYJĄ A PRZYSZŁOŚCIĄ

7650 lekarzy weterynarii i 646 doktorów nauk weterynaryjnych – tak w liczbach można podsumować 70 lat istnienia wrocławskiego Wydziału Medycyny Weterynaryjnej. Wydziału, który szczyli się korzeniami sięgającymi tradycji lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej, choć swoją historię zaczął 70 lat temu – inaugurując działalność 5 listopada 1945 roku we Wrocławiu, mieście, które po zakończeniu II wojny światowej i konferencji poczdamskiej miało zastąpić Kresowiakom Lwów.

Pierwszym dziekanem, a także organizatorem nowo powstałego Wydziału został były rektor uczelni lwowskiej prof. dr hab. dr h.c. ZYGMUNT MARKOWSKI. Studenci I i II roku rozpoczęli zajęcia już 22 listopada 1945 roku, a Rada Wydziału zebrała się po raz pierwszy 14 grudnia, ale pierwsze – nieregularne – wykłady odbywały się już od września.

W tych pierwszych miesiącach jednym z najważniejszych zadań było zabezpieczenie mienia uczelni, przygotowanie sal do wykładów, słowem stworzenie infrastruktury, w której możliwe stanie się zdobywanie wiedzy przez młodych, mniej lub bardziej doświad-

czonych przez wojnę ludzi, którzy tej wiedzy byli głodni.

SILA TRADYCJI

Lwowska Akademia Medycyny Weterynaryjnej powstała w 1881 roku, jako trzecia, po wileńskiej i warszawskiej, specjalistyczna uczelnia kształcąca lekarzy weterynarii. W 1897 roku otrzymała status akademii, co *de facto* tylko potwierdziło jej renomę i poziom wykształcenia i kadry akademickiej, i absolwentów opuszczających jej mury. Wybuch II wojny światowej przerwał świetny rozwój Akademii, która miała wszelkie dane do tego, by dorównać

najlepszym w Europie ośrodkom naukowym.

Zmiana granic, do jakiej doszło wskutek zakończenia wojny, niejako wymusiła na lwowskich profesorach konieczność osadzenia się w nowej rzeczywistości. Wędrowną ludów większość z nich zakończyła we Wrocławiu, gdzie istniała szkoła rolnicza, ale rozwiniętego wydziału weterynarii nie było. Działał za to – w ramach Instytutu Rolniczego – Instytut Weterynarii z Kliniką dla Zwierząt. I w murach owego Instytutu, kontynuując tradycje lwowskie, obdarzona ogromnym autorytetem grupa znakomitych profesorów, ich uczniów oraz



Rada Wydziału Medycyny Weterynaryjnej – 1964 r. W tozde rektorskiej prof. Alfred Senze, legenda polskiej weterynarii



Spotkanie w Trzebieszowicach, na którym oczywiście rozmawiano o przyszłości uczelni



Wejście główne na teren Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, której spadkobiercą jest wrocławska uczelnia



Zajęcia z histologii u prof. Jana Kuryszki

pracowników technicznych i laboratoryjnych, wraz ze swoim dorobkiem i niesamowitym zapałem, przystąpiła z wielkim poświęceniem i zaangażowaniem do tworzenia wydziału weterynaryjnego na fundamentach szkoły lwowskiej.

Formalnie Wydział Medycyny Weterynaryjnej we Wrocławiu rozpoczął działalność w ramach Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej 5 listopada 1945 roku.

Dwaj wybitni uczeni: elektrochemik z Politechniki Lwowskiej prof. KAZIMIERZ IDASZEWSKI oraz światowej sławy lekarz i mikrobiolog prof. LUDWIK HIRSZFELD 15 listopada ogłosili pierwsze po wojnie wykłady, inaugurując rok akademicki na Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu. W tym pierwszym roku akademickim 1945/1946 naukę podjęło 2353 studentów, a wykładało im zaledwie 50 profesorów, w tym kilku na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej, którzy przyjechali z Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Uroczysta inauguracja roku akademickiego odbyła się dopiero w czerwcu 1946 roku – ten pierwszy rok kształcenia pierwszego rocznika absolwentów Politechniki i Uniwersytetu Wrocław-

skiego wypełniony był ciężką pracą, ale też i radością, że na gruzach rodzi się nowe, również akademickie, życie.

KOLEJNE POKOLENIA

W 1951 roku z pierwszej uczelni na ziemiach zachodnich decyzją ówczesnych władz państwowych wyodrębniono Wyższą Szkołę Rolniczą, która w 1972 roku została przemianowana na Akademię Rolniczą we Wrocławiu, a w 2006 roku zyskała rangę uniwersytetu, stając się Uniwersytetem Przyrodniczym we Wrocławiu. Wydział Medycyny Weterynaryjnej od początku istnienia samodzielnej wrocławskiej uczelni rolniczej pozostawał jednym z jej pięciu wydziałów.

Dzisiaj w strukturze Wydziału jest 10 podstawowych jednostek: Katedra Biostruktury i Fizjologii Zwierząt, Katedra Biochemii, Farmakologii i Toksykologii, Katedra Immunologii, Patofizjologii i Prewencji Weterynaryjnej, Katedra Patologii, Katedra Chorób

Wewnętrznych z Kliniką Chorób Koni, Psów i Kotów, Katedra Epizootiologii z Kliniką Ptaków i Zwierząt Egzotycznych, Katedra Rozrodu z Kliniką Zwierząt Gospodarskich, Katedra i Klinika Chirurgii, Katedra Higieny Żywności i Ochrony Zdrowia Konsumenta oraz Centrum Diagnostyki Eksperymentalnej i Innowacyjnych Technologii Biomedycznych i dodatkowo wiwrium oraz pracownia komputerowa.

Przez te 70 lat wykształciło się na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej we Wrocławiu blisko 8 tys. lekarzy weterynarii. Przewinęło się wiele pokoleń z tradycjami rodzinnymi, które zawód ten kojarzą z dużą odpowiedzialnością. Równocześnie weterynarz obdarzony jest zaufaniem właścicieli zwierząt, dla których są one często jedynymi przyjaciółmi, niezastąpionymi i niezawodnymi powiernikami. Oczywiście tych aspektów pracy lekarzy weterynarii jest wiele, ale nie sposób jeszcze nie wspomnieć



Rada Wydziału Medycyny Weterynaryjnej – miarą sukcesu zawsze są ludzie



Budynek Wydziału Medycyny Weterynaryjnej przy ul. Norwida

o etycznych zasadach postępowania lekarsko-weterynaryjnego oraz o stałym kształceniu w ramach konferencji, seminariów, warsztatów czy studiów podyplomowych i specjalizacyjnych.

Same za siebie mówią też liczby: obecnie wydział kształci 1240 studentów na jednolitych studiach magisterskich, w tym 773 w trybie stacjonarnym, 467 w trybie niestacjonarnym oraz 55 w języku angielskim w ramach studiów anglojęzycznych dla obcokrajowców (English Division), a także 36 na 4-letnich studiach doktoranckich. Zajęcia dydak-

tyczne, zarówno teoretyczne, jak i praktyczne, odbywają się w nowoczesnych laboratoriach, pracowniach i salach operacyjnych oraz w obiektach współpracujących z uczelnią gospodarstw rolnych – prywatnych i spółek Skarbu Państwa. Nic dziwnego, że dyplom lekarza medycyny weterynaryjnej Uniwersytetu Przyrodniczego jest marką samą w sobie i gwarancją świetnego wykształcenia i przygotowania do wykonywania odpowiedzialnego zawodu. A dowodem jakości kształcenia jest wyróżniająca nota Polskiej Komisji Akredytacyjnej wystawiona w 2012 roku po

dokonaniu oceny programowej na kierunku weterynaria na poziomie jednolitych studiów magisterskich.

WSPÓŁPRACA I ROZWÓJ

Wydział Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu współpracuje nie tylko z wydziałami macierzystej uczelni, jak Wydział Biologii i Hodowli Zwierząt, Nauk o Żywności czy Przyrodniczo-Technologicznym, lecz także z innymi wydziałami w Polsce. Silnie rozwinięte jest współdziałanie z wydziałami zagranicznymi w Europie, Azji i Ameryce. Od lat istnieje ponadto ścisła i owocna współpraca z samorządem lekarsko-weterynaryjnym. Dotyczy ona kształcenia przyszłych klinicystów i higienistów oraz specjalistów z zakresu prawa administracyjnego i studentów w czasie różnego rodzaju praktyk.

Priorytetem jest jednak tworzenie centrów badawczych w obrębie jednostki oraz konsorcjów naukowo-badawczych skupiających różne podmioty z kraju i z zagranicy – dzięki temu rośnie skuteczność w zdobywaniu środków na badania naukowe i zakup nowoczesnej aparatury badawczej. Efektem tak rozumianej współpracy jest udział w Konsorcjum Naukowym – Wrocławskim Centrum Biotechnologii. Wydział Medycyny Weterynaryjnej tworzy je wspólnie z Wydziałem Nauk o Żywności, Wydziałem Biologii i Hodowli Zwierząt Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, Wydziałem Biotechnologii i Wydziałem Chemii Uniwersytetu Wrocław-



Kliniki weterynaryjne – tutaj bije serce Wydziału



skiego, Wydziałem Chemicznym Politechniki Wrocławskiej, Instytutem Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. Ludwika Hirszfelda Polskiej Akademii Nauk oraz Ośrodkiem Badawczo-Rozwojowym Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego we Wrocławiu.

O poziomie naukowo-badawczym Wrocławskiego Centrum Biotechnologii najlepiej świadczy status KNOW, jaki otrzymał on na 5 lat (2014–2018), oraz coroczne wsparcie finansowe na wzmocnienie potencjału naukowego i badawczego, rozwój kadry naukowej, kreowanie atrakcyjnych warunków pracy badawczej, budowanie silnej i rozpoznawalnej marki, a także na realizację krótkoterminowych pobytów badawczych studentów i doktorantów w jednostkach zagranicznych.

OD STUDENTA DO SPECJALISTY

Z perspektywy 70 lat widać wyraźnie, jak wielki trud podejmowały nie tylko kolejne władze Wydziału, ale i jego pracownicy, bez względu na zajmowaną pozycję w hierarchii zawodowej.

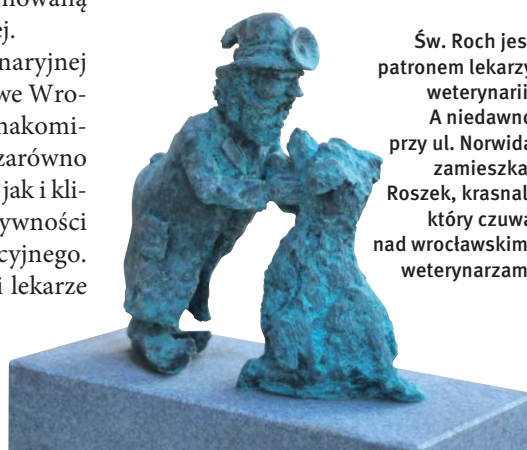
Wydział Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu zatrudnia ponad 100 znakomitych specjalistów w zawodzie, zarówno w tzw. naukach podstawowych, jak i klinicznych oraz higienistów żywności i ekspertów prawa administracyjnego. Kształceni są nie tylko przyszli lekarze

weterynarii, lecz także studenci wydziałów: Biologii i Hodowli Zwierząt, Przyrodniczo-Technologicznego i Nauk o Żywności. Realizowane są też interdyscyplinarne projekty badawcze, nowe kierunki studiów, ciekawe i podążające za aktualnymi trendami wiedzy fakultety rozbudowujące wiedzę i horyzonty naukowe studentów. W niektórych jednostkach, zwłaszcza w obrębie nauk podstawowych, powstają prace inżynierskie i magisterskie. Oczywiście prężnie rozwija się cały czas nowa kadra pracowników naukowo-dydaktycznych, podnoszących swoje kwalifikacje w ramach przeprowadzanych przewodów habilitacyjnych, studiów doktoranckich i specjalizacji zawodowych. Spektrum możliwości naukowo-dydaktycznych Wydziału najlepiej pokazują specjalizacyjne studia podyplomowe dla lekarzy weterynarii z zakresu: chirurgii weterynaryjnej, chorób drobiu oraz ptaków ozdobnych, chorób psów i kotów, epizootologii i administracji weterynaryj-

nej, higieny zwierząt rzeźnych i żywności pochodzenia zwierzęcego, rozrodu zwierząt, weterynaryjnej diagnostyki laboratoryjnej, radiologii weterynaryjnej, chorób przeżuwaczy, chorób owadów użytkowych, prewencji weterynaryjnej i higieny pasz oraz studia podyplomowe z zakresu dobrej praktyki produkcyjnej i higienicznej oraz audytowania systemów jakości zdrowotnej żywności.

SIŁA TECHNIKI

Siłą wrocławskiego Wydziału Medycyny Weterynaryjnej jest zaplecze diagnostyczne, jakiego nie powstydziliby się żaden wiodący ośrodek na świecie. W 2014 roku dzięki pozyskaniu funduszy z Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa Dolnośląskiego powstało Centrum Diagnostyki Eksperymentalnej i Innowacyjnych Technologii Biomedycznych, które ma na celu umożliwić realizację projektów badawczych z udziałem dużych zwierząt. W Katedrze Chorób Wewnętrznych z Kliniką Koni, Psów i Kotów od lat są prowadzone kardiologiczne badania przedkliniczne na pograniczu medycyny weterynaryjnej i medycyny człowieka. Jednak istnieje potrzeba dalszego rozwoju tego kierunku badań,



Św. Roch jest patronem lekarzy weterynarii. A niedawno przy ul. Norwida zamieszkał Roszek, krasnal, który czuwa nad wrocławskimi weterynarzami



Współczesne oblicze weterynarii:
nowoczesny sprzęt, świetni
specjaliści i badania na najwyższym,
światowym poziomie





Rezonans magnetyczny wykorzystuje się nie tylko w diagnostyce ludzi, lecz także zwierząt. Po lewej dr Marcin Wrzosek



Zajęcia dla dzieci w ramach Dolnośląskiego Festiwalu Nauki

a stworzenie Centrum ma umożliwić otrzymanie certyfikatów, gwarantujących prowadzonym badaniom wiarygodność i odpowiednią pozycję zarówno w świecie naukowym, jak i w praktyce gospodarczej.

W ośrodku można prowadzić kompleksowe badania na różnych gatunkach zwierząt, m.in. królikach, psach oraz dużych zwierzętach, np. świniach, które stanowią bardzo dobry model do badań naukowych z zakresu kardiologii, neurologii, gastroenterologii czy onkologii. W tym miejscu nie sposób też nie wspomnieć o sukcesie CDEiITB, czyli realizowanym wielomilionowym granie badawczym finansowanym przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju w ramach programu krajowego DEMONSTRATOR+ „Opracowanie prototypów wyrobów medycznych na bazie surowców otrzymanych z porożeniowych komórek macierzystych”.

Ośrodek – z myślą o badaniach – wyposażono w specjalistyczny sprzęt najnowszej generacji. Pracownia echokardiografii ma ultrasonograf AlokaAlpha 7 z głowicą kardiologiczną, naczyniową oraz przepływową, pracownia elektrofi-

zjologii inwazyjnej korzysta z wielofunkcyjnego komputerowego systemu EKG do badań elektrofizjologicznych ze stymulatorem i ablatorem RF, pracownia rezonansu magnetycznego wyposażona jest w rezonans magnetyczny Ingenia 1,5T marki Philips (zakupiony ze środków Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego). W Centrum działa też pracownia hemodynamiczna i implantacji stymulatorów serca.

NAJWAŻNIEJSI SĄ LUDZIE

Wszystkie osiągnięcia kreowane były przez wybitne jednostki – ludzi, którzy niewątpliwie nadawali kierunek i tworzyli przychylną i niezmiernie życzliwą atmosferę. Tak znakomici pionierzy, jak: ANDRZEJ LISIECKI, KAZIMIERZ SZCZUDŁOWSKI, ALEKSANDER ZAKRZEWSKI, ANTONI BANT, GUSTAW POLUSZYŃSKI czy TADEUSZ KONOPIŃSKI, jak podkreślał 5 lat temu przy okazji obchodów 65-lecia Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu ówczesny jego dziekan prof. dr hab. JAN TWARDOŃ, postawili wysoko poprzeczkę swoim następcom.

Oczkiem w głowie każdej uczelni i każdego wydziału są studenci. Nie inaczej jest w przypadku Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Studenci odbywają zajęcia praktyczne z wszystkimi gatunkami zwierząt w stadninach, chlewniach, fermach bydła i ubojniach oraz przetwórnich surowców zwierzęcych na terenie województwa dolnośląskiego oraz sąsiednich województw. Bazę naukowo-dydaktyczną Wydziału wspiera Ośrodek Badań Środowiska Leśnego i Hodowli Zwierząt Łownych

w Złotówku, prowadzony przez prof. dr. hab. JÓZEFA NICPONIA.

W kilku słowach należy wspomnieć o warsztacie pracy naukowej, jaki stanowią laboratoria i pracownie. Wyposażone w bardzo nowoczesną i niejednokrotnie unikatową aparaturę, pozwalają pracownikom naukowo-dydaktycznym Wydziału na prowadzenie badań naukowych oraz podnoszenie kwalifikacji i pozycji naukowych w kraju i za granicą, a także zajęć ze studentami i członkami Studenckiego Ruchu Naukowego.

Pracownicy Wydziału piastują wiele ważnych funkcji w gremiach naukowych i instytucjach naukowych w kraju, w tym w tak szczególnym towarzystwie naukowym, jak Polskie Towarzystwo Nauk Weterynaryjnych.

Profesorowie Wydziału zostali uhonorowani tytułem doktora honoris causa polskich i zagranicznych uczelni, jak było to w przypadku profesorów RYSZARDA BADURY, TADEUSZA GARBULIŃSKIEGO, JÓZEFA NICPONIA I MICHAŁA MAZURKIEWICZA.

Satysfakcjonujący jest też fakt zajmowania przez wielu naszych absolwentów znaczących pozycji w zawodzie, nauce i w administracji lekarsko-weterynaryjnej.

Przy okazji jubileuszu 70-lecia Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu wszyscy myślimy o takim jego rozwoju, aby móc kształcić coraz lepiej przygotowanych do zawodu lekarzy medycyny weterynaryjnej, potrafiących podnieść ciężar wyzwań stojących przed weterynarią i Wydziałem. Chciałoby się, aby następny jubileusz był jeszcze bogatszy w osiągnięcia i prestiż. •

Formalnie Wydział Medycyny Weterynaryjnej we Wrocławiu rozpoczął działalność w ramach Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej 5 listopada 1945 roku.



Nerona – angielfka uratowana przed rzeźnią

JEJ DZIECI POBIEGNĄ W NASZYCH BARWACH!

To historia klaczy z dobrym, angielskim rodowodem wygrywającej na wrocławskim torze wyścigowym. W 2012 roku, kiedy słynną gonitwę Wielka Wrocławska rozegrano jako bieg z przeszkodami dla czteroletnich i starszych koni pełnej krwi na dystansie 3200 m, Nerona zdobyła pierwsze miejsce. Dwa lata później w jednym z wyścigów kończących sezon zwichnęła staw koronowy, zerwała ścięgna, złamała kość rysikową lewej kończyny piersiowej. Mimo to dobiegła do mety.

Moja teoria jest taka, że biegła tak szybko, gnała i tak bardzo chciała wygrać, że za mocno tąpnęła nogą i kość wyskoczyła, nie wytrzymała. Możliwe również, że kopnęła się tylną nogą w przednią, stąd złamanie. W każdym razie z takimi uszkodzeniami była trzecia! – opowiada PAULINA ZIELIŃSKA, weterynarz z Katedry i Kliniki Chirurgii

Wydziału Medycyny Weterynaryjnej, w której Nerona wróciła do zdrowia.

– Było widać, że ma dziewczyna serce do biegania, twarda sztuka – dodaje ANNA ZWYRZYKOWSKA, doktorantka w Katedrze Higieny Środowiska i Dobrostanu Zwierząt Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, za której sprawą klacz stała się własnością uczelni i „ma-

skotką” stajni. – Niestety, ten sport jest dość brutalny. Cały październik Nerona stała w boksie, postępowal przykurcz nogi, doraźne leczenie i opatrunki nic nie dawały. Oczywiście było, że koń nigdy nie będzie biegał, a do tego potrzebuje długiego i kosztownego leczenia. A to się właścicielowi najzwyczajniej nie opłacało.

REKTOR NA RATUNEK

W tym momencie tej historii pojawia się rektor: – Przyszła do mnie Ania i powiedziała „Panie rektorze, ratujmy tego konia”. Właściciel stwierdził, że musi go sprzedać. Gdyby sprzedał go na mięso, otrzymałby jakieś cztery, może cztery i pół tysiąca złotych. Ale biorąc pod uwagę aspekt humanitarny i przywiązanie, chciał mu znaleźć nowego właściciela za półtora tysiąca. Więc się długo nie zastanawiałem – opowiada prof. ROMAN KOŁACZ i wyjaśnia: – Po pierwsze samemu było mi żal, że koń, który miał takie wspaniałe osiągnięcia, miałby skończyć życie w tak okrutny sposób. A po drugie urzekły mnie emocje i zaangażowanie Ani, która była zdeterminowana do tego stopnia, że sama by go kupiła, gdyby tylko miała go gdzie trzymać.

– To nie jest problem kupić konia. Chciałyśmy się nawet złożyć z koleżankami. Ale trzeba go gdzieś trzymać i za coś utrzymać. Do tego doszłoby leczenie. Więc gdy dowiedziałam się, że uczelnia ma konie w Pawłowicach, pomyślałam, że pójdę do rektora, zapytam, zagadam, może chociaż będę mogła go tam trzymać – opowiada Anna Zwyrzykowska.

A rektor dopowiada, że skonsultował się z prof. ZDZISŁAWEM KIEŁBOWICZEM z Kliniki Chirurgii, który po zapoznaniu się ze stanem Nerony, stwierdził, że może przywrócić ją do zdrowia. Oczywiście nie wróci na tor wyścigowy, ale będzie chodziła, nie będzie cierpiała, a że ma świetny rodowód – będzie mogła być matką przyszłych mistrzów.

– Profesor przyjął tego konia w ramach elementu dydaktycznego – uczył studentów, a uniwersytet nie musiał płacić za jego leczenie – dodaje prof. Roman Kołacz.

DOŚWIADCZENIE PROFESORA

Zasługi, ogromną wiedzę i doświadczenie (a przez to i zapracowanie) prof. Zdzisława Kiełbowicza wymieniają wszyscy, którzy brali udział w leczeniu klaczy. Paulina Zielińska opowiada o długim procesie leczenia w imieniu ich wszystkich: – Rozważaliśmy opcję przeprowadzenia operacji i zespolenia stawu koronowego, zrobienia chirurgicznej protezy. Po takim zabiegu koń może chodzić, ale staw jest nieczynny. Literatura podaje, że rokowania nie są

zbyt dobre, implanty często się nie przyjmują. Dlatego postanowiliśmy podejść do problemu zachowawczo. Była to seria szesnastu zabiegów laseroterapii wysokoenergetycznej – młoda weterynarz przyznaje, że długo nie było pewności, że klacz wyzdrowieje. – To był mój pierwszy kryzys w terapii laserem. W momencie, w którym zawsze już widzę efekty, u Nerony nie widziałam żadnych. Przyszły dużo później – ścięgnię się zmniejszyły, noga wyschła, poprawę wykazało też badanie USG. Zdrowiała w oczach. Potem prof. Kiełbowicz zalecił grzanie ciepłem endogennym pod opatrunkiem, a ostatnim etapem, który jeszcze trwa, jest program ruchowy.

Jeszcze dwa miesiące temu był to koń stojący od października ubiegłego roku w boksie, wyprowadzany tylko na zdjęcia rentgenowskie i laser. – A to jest koń pełnej krwi angielskiej, stworzony do biegania, z temperamentem, energią. Przyzwyczajony do wychodzenia na prezentację, blisko człowieka, na wędzidle, nie do spokojnych spacerów i podgryzania trawki – Anna Zwyrzykowska, od lat związana z wrocławskimi Partynicami, spędzająca każdą wolną chwilę w stajni i na jeździe, od początku obserwuje zmiany w zachowaniu Nerony. – Uspokoiła się, ucywilizowała, a na początku nie była przyjemna dla innych koni, terroryzowała klinikę.

Paulina Zielińska dodaje: – Ma już swój stały boks, bo nie dam jej pogryźć wszystkich w stajni! Ja lubię konie spokojne i przyjazne, więc do takiego stanu dążymy.

NOWE LOKUM W PAWŁOWICACH

W maju lub w czerwcu Nerona zamieszka w Pawłowicach, to zależy od postępów terapii. – W tym momencie największe ryzyko wiąże się z tym, że poczuje wolność, trawę i pogna, pobiegnie, zrobi sobie krzywdę. Dlatego na spacerach stopniowo daję jej coraz większą swobodę, żeby nie wykorzystywała jej do ucieczki, żeby się przyzwyczaiła. Żeby wolność nie była dla niej nowością, która obudzi konia wyścigowego. Niech je trawkę i ogląda świat.

Jak fizycznie zmieniła się Nerona od momentu wykupienia? – Przytyła! – bez cienia wątpliwości odpowiada pan Krzysiu, jedyny człowiek, przed którym wszystkie konie w uczelnianej stajni czują respekt. Do gadatliwych nie należy, bo co innego decyduje o posłuchu. – Trzeba pokazać koniowi, kto tu rządzi. Jak się boisz, to koń ci nie odpuści – tłumaczy. I chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się srogim opiekunem, do Nerony zwraca się pieszczotliwie – „Gadzina”.

Historia być może będzie miała swój ciąg dalszy – są skromne plany, aby potomstwo Nerony też biegało. •



Rektor Roman Kołacz nie wahał się ani chwili: – Klacz trzeba ratować

Byliśmy biedni,
ale nie brakowało nam
jednego...

ENTUZJAZMU

W 1945 roku na gruzach Wrocławia zaczęło się rodzić nowe, polskie życie. Profesorowie na czele z rektorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, przenosząc tradycję, odbudowywali z pomocą studentów to, co najważniejsze – intelektualną siłę miasta.



„Szkoły wyższe jako jednostki prawne, rodzą się z aktów ustawodawczych, ale jako ośrodki pracy naukowej, wyrastają z tradycji wieloletnich wysiłków. Uniwersytet i Politechnika we Wrocławiu liczą jako organizmy prawne niespełna rok życia, ale jako zespoły naukowe wyrastają z wypróbowanych i starych tradycji lwowskich. Jakkolwiek grono naszych kolegów zasilonie zostało licznymi wybitnymi siłami naukowymi, rekrutującymi się z Wilna, Warszawy, Krakowa i Poznania, niemniej trzon zespołu naukowego, starszego i młodszego, podobnie jak trzon naszego zespołu młodzieżowego, pochodzi zza Bugu. Jesteśmy materialnymi spadkobiercami ruin niemieckiego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, a duchowymi spadkobiercami kresowej kultury lwowskiej”.

Te słowa prof. Stanisława Kulczyńskiego wygłoszone 9 czerwca 1946 na uroczystości inauguracji pierwszego roku akademickiego Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, wtedy jeszcze jednej uczelni, zapamiętał jej student, RYSZARD BADURA.

– Było dokładnie tak, jak mówił profesor. Weszliśmy do niemieckich budynków. Wielu zresztą zrujnowanych, wymagających rozminowania czy choćby odgruzowania. Ja byłem w Straży Akademickiej i pamiętam, jak pilnowałem grupy Niemców, którzy odgruzowywali gmach główny Uniwersytetu. Zachodnia część była kompletnie zrujnowana, bo bomba przebiła dach, niszcząc Collegium Musicum, które dzisiaj znamy jako Oratorium Marianum – opowiada prof. Badura, który kilka lat później mógł się już pochwalić dyplomem lekarza weterynarii i który o kresowym duchu wypełniającym niemieckie mury nie tylko uczelni, ale całego miasta mówi barwnie i nie szczędząc anegdot.

WOJNA – PRÓBA CHARAKTERÓW

Do Wrocławia przyjechał w lipcu 1945 roku. Przed wojną zdążył jeszcze zdać małą maturę, bo mama wysłała go prawie dwa lata wcześniej do szkoły. Do studiowania potrzebna mu była jednak duża matura i tę udało mu się zdać w Katowicach, ale między wrześniem 1939 roku a latem 1945 nie tylko w jego życiu wydarzyło się wiele, nie zawsze łatwych spraw.

– Urodziłem się w Trzebini. Do gimnazjum chodziłem w Chrzanowie, ale



Prof. Ryszard Badura w latach 1962–1965 był prodziekanem i dziekanem Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Wyższej Szkoły Rolniczej, od 1965 był jej prorektorem, a od 1969 do 1981 (przez cztery kadencje) rektorem Akademii Rolniczej we Wrocławiu. W 1999 roku został doktorem honoris causa AR, rok później Akademii Medycznej we Wrocławiu, a w 2010 Uniwersytetu Ludwiga Maximiliana w Monachium



kiedy wybuchła wojna i zaczęto wywozić ludzi do Rzeszy na roboty, było jasne, że trzeba się gdzieś zahaczyć, mieć pracę i dobre papiery, by tej wywózki uniknąć – tak Ryszard Badura trafił do słynnej na całą Polskę fabryki lokomotyw w Chrzanowie, która do 1939 roku nosiła nazwę Fablok, a po wkroczeniu Niemców została przejęta przez niemieckie zakłady Henschel & Sohn w Kassel i nazywała się Oberschlesische Lokomotivwerke AG Krenau O/S (Oberlok). Młody Badura został uczniem ślusarskim i trafił pod skrzydła prawdziwej robotniczej awangardy. Dzisiaj mówi o tamtych czasach wprost: – Tam były bardzo silne wpływy lewicowe, sięgające jeszcze czasów przedwojennych. Pracowałem w fabryce trzy lata. Zrobiłem w tym czasie nawet papiery rzemieślnicze, a po ataku Niemców na Związek Radziecki coraz wyraźniej było widać, jak rodzi się ruch oporu. Próbowali mnie wciągnąć w politykę, ale co chwilę Niemcy kogoś aresztowali, ktoś był i nagle zniknął i nie wiadomo było, co się z nim stało. Coś musiałem zdecydować.

I zdecydował. Z Chrzanowa wyjechał do Bystrej Śląskiej do szpitala przeciwgruźliczego. W tamtejszym sanatorium w 1936 roku zmarł Ignacy Daszyński, ale Ryszarda Badura historia uzdrowiska i jego znanych gości interesowała w niewielkim stopniu. Ważniejsze było to, aby

przeżyć wojnę. Nie dać się zabić. I uniknąć wywózki.

– Młodszy brat, Leszek, był w Bystrej pomocnikiem niemieckiego dentysty. Nigdy nie opowiadał szczegółów, jak mu się to udało, ale udało. Załatwił mi skierowanie na leczenie w szpitalu. Oczywiście nie można było na nim napisać w rozpoznaniu, że mam klasyczną gruźlicę, bo każdy lekarz od razu by wiedział, że to kłamstwo. Więc miałem wpisane, że choruję na gruźlicę węzłów chłonnych. To już była ciężka diagnostycznie sprawa i tak zostałem pacjentem niemieckiego szpitala, gdzie nie tylko leczono gruźlików, ale przede wszystkim rannych żołnierzy – opowiada profesor i z szelmowskim uśmiechem dodaje, że jak już wyleczono go z wymyślonej choroby, to został w tym szpitalu portierem. To był prawdziwy raj. Ciepło, spokojnie. Sen z powiek spędzała tylko centralka telefoniczna, którą obsługiwał, ale w porównaniu z fabryką lokomotyw robota była żadna.

– Moi koledzy robotnicy w Chrzanowie wiedzieli, że mam małą maturę. Chodzili więc za mną i dogadywali „e, studencik, a może byś tak pozamiatał”. Myśleli, że się będę wywyższał. W Bystrej z kolei, jak już szedł front i Niemcy zaczęli się wycofywać, to taki jeden przyszedł do mnie na portiernię i namawiał, żebym uciekał razem z nimi, bo jak Iwan



Drukarnia, w której powstawała pierwsza polska gazeta we Wrocławiu „Pionier”



Straż Akademicka – jej zadaniem było pilnowanie budynków wrocławskich uczelni przed szabrownikami

przyjdzie to na pewno da nam popalić. Nie chciałem, więc na odchodne dał mi pistolet. Do obrony przed Rosjanami... – profesor Badura jeszcze dzisiaj kiwa głową z niedowierzaniem. Pistoletu na szczęście użyć nie musiał. I z Bystrej, kiedy tylko było to możliwe, pojechał do Katowic, gdzie pierwsze kroki skierował do kuratorium oświaty. Po zgodę na zdawanie egzaminu dojrzałości. Nauczyciele szli tym wojennym pokoleniom, z małą maturą czy egzaminem zdany pod czas tajnych kompletów, na rękę. Najważniejsze było, że młodzi chcieli się uczyć, studiować, że skończyła się wojna i okupacja, że zaczęło się życie.

NOWE ŻYCIE W CIENIU ZBRODNI

Ryszard Badura dużą maturę zdał. W liceum administracyjnym. Na studia w Krakowie nie miał już szans, bo tam rok akademicki zaczął się jak Pan Bóg przykazał, 1 października. W końcu miasto nie było zniszczone, a Uniwersytet Jagielloński stał nienaruszony.

– Trzeba było się jeszcze wyreklamować od wojska. W Komisji Uzupelnień. Nie ja jeden myślałem, że przecież wojna się skończyła, to na co mi z karabinem w ręce i w mundurze tracić kolejne lata. I tak z kolegami uradziliśmy, że jedziemy do Wrocławia. Wiedzieliśmy, że miasto jest zrujnowane. Ale wiedzieliśmy też, że skoro uczelnie jeszcze nie ruszyły, to mamy szansę i wojsko nas nie capnie – opowiada Ryszard Badura.

Do Wrocławia przyjechali pewnego lipcowego dnia. A właściwie nie tyle dnia, ile nocy. Pociąg stanął na Dworcu

Nadodrze, bo Główny był nieczynny. Wysiedli w obcym mieście, bez grosza przy duszy, z nędznym dobytkiem w niewielkich tekturowych walizkach. Na peronie stał jakiś młody chłopak. Wyraźnie było widać, że na kogoś czeka. Podeszli do niego. – A koledzy pewnie też na studia? – rzucił z uśmiechem. Kiwnęli głowami, że tak. – A macie gdzie spać? – Tym razem kiwnęli głowami, że nie. – No to chodźcie ze mną.

I poszli. Najpierw ulicami, przy których stały wysokie kamienice, ale jak tylko doszli do Odry, zanurzyli się w morzu ruin. I tym morzem dotarli na Krzyki. Do samotnej willi, w której mieszkały samotne Niemki i grupka młodych Polaków, którzy przyjechali do Wrocławia na studia.

– Jak one się cieszyły. Wtedy nie tylko strach było chodzić w nocy po mieście, tak było niebezpiecznie, ale nawet w domu mogło być groźnie. Jak zapadał zmierzch, to co jakiś czas dochodziły nas krzyki „Hilfe! Hilfe!”. Ktoś był grabiony, ktoś mordowany, a gwałty i to nie tylko na Niemkach były niemalże ponurą codziennością – wspomina prof. Badura.

„Pierwsza myśl nasza biegnie ku pamiętnemu porankowi dnia 4 lipca 1941 roku, kiedy to odbywał się we Lwowie akt publiczny akademickich szkół lwowskich, akt krwawy, treścią swą związany głęboko z dzisiejszym”

– mówił 9 czerwca 1946 roku do studentów i profesorów rektor Kulczyński. Mówił o jednej z wielu zbrodni, jakiej dokonali okupanci, ale zarazem zbrodni szczególnej, bo uderzającej w serce Polski, w inteligencję.

„Akademickie szkoły lwowskie stanęły tego dnia nie na podium auli, ale pod ścianą piaskowni lwowskiej, nie w obliczu władz i społeczeństwa polskiego, ale w obliczu władz i przedstawicieli społeczeństwa niemieckiego. Reżyserem tej uroczystości był Himmler, a wykonawcą Niemiec Hans Krueger, podówczas szef miejscowego Gestapo, później morderca 250 nauczycieli ze Stanisławowa. Jakkolwiek odległa jest ta chwila, pamiętamy i widzimy, jak w oczach naszych osuwa się na kolana i wali w rów ostatni rektor lwowski Roman Longchamps i trzech jego synów, dziekan Ostrowski i jego żona, dziekan Rencki i chirurg Dobrzaniecki i internista Grek i jego żona i osiemdziesięcioletni Sołowij i jego wnuk Mięśowicz...”

– rektor wymieniał nazwiska tych, którzy zginęli na Wzgórzach Wuleckich i których wiele lat później środowisko akademickie Wrocławia upamiętniło pomnikiem. Co roku składane są tam wieńce, co roku zapalane znicze. W mieście, które jeszcze nie tak dawno temu było miastem niemieckim, jednym z najważniejszych w III Rzeszy, słowa Kulczyńskiego brzmiały jednak szczególnie.

„Oto żniwo jednego dnia, 120 nazwisk, w tym 25 profesorów, 120 liter aktu spisane krwią naszych kolegów i kulami karabinu Hansa Kruegera, aktu, w którym spisane zostało nasze moralne prawo do dzisiejszej uroczystości we Wrocławiu, aktu, w którym mieści się odpowiedź na pytanie – dlaczego w auli tej, wzniesionej niemieckimi rękoma, jesteśmy dzisiaj sami bez reprezentacji nauki niemieckiej, dlaczego w gronie młodzieży naszej nie chcemy widzieć żadnego Niemca, żadnego przyszłego Hansa Kruegera, dlaczego na podszept, że nauka jest ideą międzynarodową,



Indeks przyszłego rektora Wyższej Szkoły Rolniczej i Akademii Rolniczej – prof. Ryszarda Badura



Pierwsi asystenci na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej. Przy odgruzowywaniu pracowali wszyscy, 1945 r.

odpowiadamy – owszem rozmawiać będziemy o tym, ale poprzez ścianę i kordon bagnetów polskich, stojących na Nysie i Odrze”

– Ryszard Badura, który do Wrocławia przyjechał studiować prawo, ale ostatecznie wybrał weterynarię, słuchając tych słów nie mógł wiedzieć, że w 2010 roku zostanie doktorem honoris causa Uniwersytetu Ludwiga Maximiliana w Monachium, tym samym Monachium, z którego Hitler rozpoczął swój marsz po władzę.

A JEŚLI POKOJU NIE BĘDZIE?

– Wszyscy byliśmy tak samo biedni. I każdy musiał jakoś przeżyć w mieście, które powoli stawało się polskie. Ja trafiłem do Bratniej Pomocy, czyli Bratniaka, a stamtąd do Straży Akademickiej. Bratniak zajął ostatnią kamienicę przed mostem Zwierzynieckim, na wprost dzisiejszego rektoratu Uniwersytetu Medycznego. Tam w pokojach stały łóżka piętrowe, na których jak ktoś nie miał kwatery, mógł się przespać kilka nocy. No i było jedzenie. Makaron z sosem pomidorowym. Codziennie taki sam – prof. Badura nie zdradza, czy od tamtych tużpowojennych miesięcy na widok sosu pomidorowego wciąż reaguje entuzjastycznie. Chętnie za to wyciąga zdjęcia, na których widać młodych chłopców. Ktoś ma zwykłą marynarkę, ale ktoś obok bluzę od niemieckiego munduru. O przynależności do Straży świadczy biało-czerwona opaska na rękawie. Noszona z dumą.

– Dlaczego trafiłem na weterynarię? – Ryszard Badura na pytanie odpowiada śmiechem. – Chciałem być praw-

nikiem. I nawet zapisałem się na prawo, kiedy Uniwersytet w październiku ogłosił nabór na studia. Myślałem o studiach ekonomicznych, takiej lwowskiej handlowce nazywanej eksportówką, bo miałem przygotowanie, i jak już okrzepłem we Wrocławiu, to nie tylko pilnowałem Niemców sprzątających budynki Uniwersytetu, lecz także pracowałem w redakcji pierwszej polskiej gazety w mieście, a dokładniej w buchalterii „Pioniera”. Ale wie pani, choć wojna się skończyła, to atmosfera wcale nie była pokojowa. Cały czas mówiło się „jeszcze jedna bomba atomowa i powrócimy znów do Lwowa”. No i ktoś wytłumaczył mi, że jak przyjdzie wojna, to trzeba mieć konkretny zawód. Komu w czasie wojny potrzebny jest prawnik? A weterynarz to co innego. Wtedy nie leczyło się jak dzisiaj piesków, kotków. Weterynarz decydował, czy zwierzę gospodarskie może iść do rzeźni. Tacy ludzie w czasie wojny są potrzebni – opowiada profesor Badura i przyznaje, ci, co przekonali go do zmiany kierunku studiów, chyba nie przewidzieli, że kilka lat później, kiedy stalinowcy wprowadzą rządy terroru, weterynarz będzie mógł trafić do więzienia oskarżony o sabotaż.

Zapisy na I rok studiów na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Wrocławskiego ruszyły 5 listopada 1945 roku. Zapisywano też tych, którzy zaczęli studia przed wojną i nie mogli ich skończyć w czasie okupacji. Wykłady rozpoczęły się 21 listopada. Tydzień wcześniej, 15 listopada, uroczysty wykład wygłosił prof. Kazimierz Idaszewski. Profesor Badura pamięta, że wykład dla

Straży Akademickiej miał też prof. Ludwik Hirszfeld.

– Byliśmy młodzi, wielu po różnych wojennych przejściach. Po tym pierwszym okresie pełnym energii, mobilizacji, zaczęło się poluzowywać coś, co nazywamy normami moralnymi. Zaczęły się u niektórych problemy z alkoholem. I Hirszfeld wtedy robił wszystko, by nas młodych znów natchnąć do nauki, do nowego życia. Mówił ważne słowa o tym, że jesteśmy potrzebni, że od naszego wysiłku zależy nie tylko to, co będziemy robić w przyszłości, ale też Polska. Wielu kolegom te słowa były bardzo potrzebne – opowiada prof. Ryszard Badura.

„Trzeciego dnia po złamaniu oporu niemieckiego przez armię Związku Radzieckiego wkroczyła do Wrocławia grupa ludzi, której zadaniem było ratowanie szczątków wrocławskich uczelni i przygotowanie warunków pod organizację przyszłego Uniwersytetu i Politechniki. Przeprowadził tę grupę pierwszy prezydent miasta i pierwszy Uniwersytetu i Politechniki opiekun i prorektor dr Bolesław Drobner. Uniwersytecko-politechniczna grupa pionierska składała się z 26 osób, w tym 5 akademików”

– przypomniał w czerwcu 1946 roku prof. Kulczyński.

WROCŁAW ZAMIAST LWOWA

Ta grupa, o której wspominał, zaczęła działać na kilka miesięcy przed upadkiem Festung Breslau i końcem wojny. Wiadomo już było, że zostaną przesunięte granice i Polska straci Kresy Wschodnie, zyskując w zamian nowe

terytoria na wschodzie Niemiec. Rząd Tymczasowy, czyli stworzony w lipcu 1944 roku tzw. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, 14 marca 1945 roku powołał socjalistę i byłego ministra pracy i opieki społecznej, dr. Bolesława Drobnera, na prezydenta Wrocławia. Nie tylko obrońcy twierdzy nie mieli pojęcia o decyzji przygotowującej przejęcie miasta. O swoim awansie nie wiedział też sam Drobner, który o czekających go zadaniach usłyszał przypadkiem od krakowskiego urzędnika 10 dni po zapadnięciu decyzji. Był jednak tak ostrożny, że początkowo nie potraktował tej nowiny poważnie. Podobno uwierzył w nią dopiero wówczas, gdy w wieczornym serwisie podała ją rozgłośnia BBC.

Grupa pionierów wjechała do miasta 9 maja. Dowodził ją inż. Kuligowski, mianowany przez Drobnera na stanowisko wiceprezydenta Wrocławia. Ten związek polskiej administracji zainstalował się w kamienicy przy dzisiejszej ul. Poniatowskiego 27 (co upamiętnia tablica na ścianie budynku). Następnego dnia w zajęтым mieszkaniu pojawił się Drobner, który nie wiedział, że w tym samym czasie swoją administrację uruchomili też Niemcy, oficjalnie odwołujący się do antyfaszystowskiego ruchu oporu i w dodatku mający wyraźną przychylność dowództwa radzieckiego. Doszło do potężnej awantury, gdy okazało się, że owi antyfaszyści to w rzeczywistości ukrywający się naziści. Rosjanie ostatecznie wysiedlili całą „administrację” niemiecką w liczbie 800 osób do Niemiec, a w sierpniu, na mocy ustaleń konferencji w Poczdamie, ostatecznie rozwiązano wszystkie niemieckie organizacje.

Profesor Grzegorz Załucki w referacie wygłoszonym w 2000 roku tak opisywał początki wrocławskiej weterynarii, na której młody Ryszard Badura pod koniec 1945 roku zaczął studia:

„15 lipca 1945 roku prof. Andrzej Klisiecki i student Alfred Senze będąc po raz drugi u pełnomocnika ministra oświaty prof. Stanisława Kulczyńskiego przedstawili mu plany klinik weterynaryjnych, plany nauczania studentów medycyny weterynaryjnej i skromne potrzeby materialne z tym związane, przekonując jednocześnie, że utworzenie jeszcze tego jednego wydziału przyniesie gospodarce narodowej wiele korzyści. Po delikatnej uwadze, że w razie nieprzyjęcia przedstawionych postulatów Straż

Akademicka opuści natychmiast Wrocław, prof. Kulczyński skapitulował, mówiąc z rozbrajającym uśmiechem: – Jesteście niezwycczeni – twórcie swój wydział!”

Kulczyński za prace nad odbudowaniem wrocławskiej uczelni zabrał się tak szybko, jak Drobner za administrowanie miastem. Do Wrocławia przyjechał 11 maja. A 18 czerwca w Krakowie były rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie wygłosił odczyt, który nie tylko miał przybliżyć słuchaczom prace grupy kulturalno-oświatowej, którą kierował, ale przede wszystkim zachęcić ich do przyjazdu do Wrocławia. Kulczyński przekonywał, że to tam, na zachodzie, czekają na nich odpowiednie warunki do pracy naukowej.

Jak wspominał prof. Załucki,

„był to jednocześnie czas, w którym ważyły się losy organizowanego w Krakowie tzw. Studium Weterynaryjnego przy Wydziale Rolniczym. Trzystu zarejestrowanych studentów czekało cierpliwie na decyzję ministra oświaty. Kiedy 26 czerwca 1945 roku przyszła odmowna odpowiedź, prof. dr Andrzej Klisiecki – były profesor fizjologii Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie – rzuca myśl wyjazdu do Wrocławia i zorganizowania tam Wydziału Medycyny Weterynaryjnej. Dwa dni później, wystąpił przez prof. Klisieckiego asystenci Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie: Alfred Senze, Karol Buluk i Zbigniew Jara, jako pierwsza pionierska grupa rozpoznawcza, wjechali do dymiącego jeszcze miasta, by zapoznać się z jego sytuacją ogólną i rozejrzeć się za ewentualnymi pomieszczeniami dla planowanego Wydziału Medycyny Weterynaryjnej”.

– Jakie były nasze początki? Fascynujące. Lwowska uczelnia, gdyby nie wojna, osiągnęłaby światowy poziom. Jej profesorowie jeździli do Wiednia, Berlina, Paryża, wszędzie tam, gdzie medycyna weterynaryjna stała na najwyższym poziomie. Jeździli po wiedzę i wracali. Świetnie władali językami i w niczym, naprawdę w niczym, nie odstawali od swoich kolegów z zagranicy. Ja miałem to szczęście, że studiowałem w czasach, kiedy profesor to był ktoś. Autorytet, mistrz, człowiek z charyzmą – wspomina Ryszard Badura, dla którego mistrzem stał się prof. Kazimierz Szczudłowski, ostatni rektor Akademii Medycyny Weteryna-

ryjnej we Lwowie. To u niego zaczął pokonywać kolejne szczeble naukowego wtajemniczenia, aż do fascynującej współpracy z prof. Wiktoorem Brossem, wybitnym chirurgiem transplantologiem.

„W niemieckim Wrocławiu nie było Wydziału Weterynaryjnego, istniał natomiast Instytut Rolniczy, przy którym znajdowała się weterynaria ze szpitalem dla zwierząt. Zniszczone budynki i urządzenia tego instytutu wybrano na materialną bazę przyszłego Wydziału Medycyny Weterynaryjnej. Pierwsze spotkanie z pełnomocnikiem ministra oświaty, które odbyło się 30 czerwca 1945 roku, przyniosło całkowite rozczarowanie. Prof. Kulczyński oświadczył, że za mało jest ludzi, by tworzyć nowe wydziały, i że są ważniejsze sprawy do załatwienia”

– wspominał prof. Grzegorz Załucki, wyjaśniając, że Alfred Senze wysłał listy do rozsianych po Polsce asystentów. Poprosił o przyjazd do Wrocławia, wychodząc najwyraźniej z założenia, że presja w postaci faktów dokonanych może być skuteczną bronią – im więcej ich będzie w jednym miejscu, tym większa szansa, że powstanie tam weterynaria.

Do Wrocławia 5 lipca przyjechał kierownik grupy weterynaryjnej prof. Andrzej Klisiecki, któremu towarzyszyło czterech asystentów. Dwa dni później dotarła grupa 35 studentów. Szefem Straży Akademickiej został student medycyny weterynaryjnej Marian Jurczyk, były partyzant AK. Pozostałych studentów też szybko oddelegowano do zadań: Karol Buluk pilnował Instytutu Zoologicznego, Zbigniew Jara – klinik medycznych, a Alfred Senze – Instytutu Rolniczego oraz Katedry i Kliniki Weterynaryjnej przy ul. C.K. Norwida 25 (wtedy Hansastr.).

DLA NAUKI PRACOWALI WSZYSCY

Było głodno, biednie, ale jednego nie brakowało – entuzjazmu. To studenci ze Straży bowiem zdobyli kilka tysięcy dachówek i sami pokryli nimi dachy klinik.

„Stan zniszczenia, w jakim zastaliśmy budynki i zakłady naukowe, był niemal rozpaczliwy. Niedostępnym marzeniem wydawała się odbudowa i pokrycie dachów przed nadejściem zimy”

– rektor Stanisław Kulczyński przypominał w czerwcu 1946 roku nie tylko studentom stan, w jakim zastali wrocławskie



Centrum Wrocławia po upadku Festung Breslau



Widok na zniszczony Ostrów Tumski, 1945 r.

uczelnie rok temu. I wyliczał, co się udało, jakby na przekór rozsądkowi i możliwościom:

„Całkowicie zabezpieczono na okres zimy oraz pokryto i oszklono 25 budynków. Powierzchnia pokrytych dachów wynosiła do zimy 36 000 metrów kwadratowych. Powierzchnia wprawionych szyb 20 000 metrów kwadratowych. Do oszklenia przyczynili się walnie robotnicy huty szkła w Wałbrzychu, którzy ofiarowali swą pracę na wytworzenie 2,5 wagonów szkła dla Uniwersytetu i Politechniki. Oceniając w pełni wysiłek tych robotników, Senat postanowił w trzecim dniu Kultury Polskiej na Ziemiach Zachodnich poświęcić jedną z sal wykładowych i nazwać imieniem Załogi Robotniczej, która pierwsza tak ofiarnie zadokumentowała solidarność nauki i świata pracy. Usunięto setki ton gruzu i wydobyto spod niego cenny materiał naukowy. Rozminowano wszystkie budynki”

– Załoga Robotnicza już dawno nie patronuje sali wykładowej, ale wtedy latem 1946 roku dumni z ciężkiej pracy

byli wszyscy: i profesorowie, i studenci, i robotnicy. Rodziła się jedność i poczucie więzi z miastem, w którym wszyscy musieli stworzyć siebie od nowa.

– Kiedy zaczęły się studia, musiałem zrezygnować z pracy w „Pionierze”. Nie dało się jej pogodzić z udziałem w ćwiczeniach. Przez jakiś czas rozwoziliśmy z kolegami w nocy gazety odbierane z drukarni. Potem stworzyliśmy biuro pisanie podań. Zналиśmy niemiecki i wieczorem taki jeden Niemiec przynosił nam podania zebrane od rodaków, a rano odbierał przetłumaczone na polski. Pilnowałem też monopolu spirytusowego na Traugutta, pamiętam, jak siedzieliśmy z kolegą w stróżówce i nawet mieliśmy stary karabin. Którejś nocy patrzyłem na restaurację po drugiej stronie ulicy. Światła, orkiestra rżnie, ludzie tańczą, śmieją się, bawią. I wtedy pomyślałem, że też tak kiedyś będę żył. Pełną piersią – w spojrzeniu prof. Ryszarda Badury trudno nie dostrzec szelmowskiego błysku.

„Obowiązki uczonego wobec nauki i społeczeństwa określają jednocześnie obowiązki młodzieży wobec uczelni. Młodzież winna pamiętać, że uczelnia wyższa nie jest rodzajem sklepu, w którym posiadacze wiedzy sprzedają ją tym, którzy jej poszukują. Uczelnie wyższe są miejscem kultu, kultu idei prawdy nieosiągalnej w swej doskonałości, do której zbliżamy się w trudzie i znoju. Młodzież winna pamiętać, że kult dla idei prawdy jest jedyną więźbą, jednoczącą uczonego i młodzieńca we wspólnotę akademicką, że kultu tego i wynikającej zeń więźby nie zastąpi kult dla żadnej gotowej prawdy naukowej, czy politycznej w swej gotowości niedoskonałej. Młodzież winna pamiętać, że służba dla idei prawdy nakłada na nią część odpowiedzialności za los akademickich szkół wrocławskich, startujących dzisiaj w przyszłość, oby tak świetną, jak przyszłość starszych jej siostrzyc”

– rektor Stanisław Kulczyński wystąpienie w czerwcu 1946 roku zakończył sentencją:

„*Quod felix faustum, fortunatumque sit!*”.
„Oby to było dla szczęścia, dobra i pomyślności!”.

– To były prorocze słowa, niezależnie od zmian, jakie nastąpiły: rozdzielienia Uniwersytetu i Politechniki, odłączenia weterynarii i wydziału rolniczego i stworzenia Wyższej Szkoły Rolniczej, którą udało mi się przekształcić w Akademię Rolniczą. Ów duch uniwersytetu towarzyszył nam przez wszystkie lata pracy i jest z nami do dzisiaj. Trzeba przyznać rektorowi Kulczyńskiemu, że uczelnia wyższa to nie sklep z towarami, to miejsce, w którym kształtuje się kolejne pokolenia. Pamiętajmy o tym – mówi prof. Badura, odkładając na bok swój indeks, kto wie, czy nie najcenniejszą pamiątkę pierwszych dni, w których uderza napis po łacinie i po polsku:

„My Rektor i Dziekan Wydziału Medycyny Weterynaryjnej w Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu wszystkim i każdemu z osobna wiadomem czynimy, że Obywatel Ryszard Badura urodzony w Trzebinie w album Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu Wydziału Medycyny Weterynaryjnej prawowicie wpisany został, co własnoręcznie podpisem i pieczęcią Uniwersytetu i Politechniki w Naszej obecności zaświadczamy.

Wrocław,
dnia 9 miesiąca grudnia roku 1946.

Podpisano: rektor Stanisław Kulczyński,
dziekan Zygmunt Markowski”.

Umiejdzynarodowienie polskich uczelni?

BEZ ROZWIĄZAŃ SYSTEMOWYCH NIEWIELE NAM SIĘ UDA

Rozmowa z prof. **ANDRZEJEM DRABIŃSKIM**,
prorektorem ds. rozwoju Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu

••• **Na studia zagraniczne wyjechało z Polski 48 tysięcy młodych Polaków. Nauka za granicą nie jest poza zasięgiem, uzyskiwane tam dyplomy są atrakcyjne na rynku pracy i co w związku z tym może zrobić na przykład Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu?**

– Uniwersytet Przyrodniczy nie jest pępkiem świata i myśle nie „niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna” to już historia. Od kiedy mamy proces globalizacji, a Polska jest członkiem Unii Europejskiej, musimy patrzeć na to zjawisko poprzez procesy albo ogólnounijnne, albo ogólnoeuropejskie, a jeszcze lepiej ogólnoswiatowe.

••• **To znaczy?**

– W krajach OECD, a właściwie dokładniej w Europejskim Obszarze Szkolnictwa Wyższego zakłada się, że w 2020 roku 20 procent absolwentów powinno mieć za sobą okres studiów zagranicznych. A to oznacza, że jesteśmy na szarym końcu za-

równy w Europie, jak i na świecie, tego problemu nie da się załatwić w skali jednej uczelni czy choćby nawet jednego miasta.

••• **Potrzebne jest rozwiązanie na poziomie państwowym?**

– Tak, niedawno odbyła się zresztą na ten temat bardzo ważna konferencja w Lublinie, na UMCS-ie. Zatytułowano ją „Studenci zagraniczni w Polsce 2015”, a uczestnicy otrzymali niezmiernie ciekawy raport. Jest w nim diagnoza i propozycje, co można z tym zrobić, ale jest też konkluzja, że jeżeli w proces umiejdzynarodowienia uczelni nie włączy się państwo, to poszczególne uczelnie same niewiele zrobią. Mnie bardzo trafiło do przekonania, że scenariusze rozwojowe dotyczące polskiego szkolnictwa wyższego są trochę podobne do scenariuszy obejmujących inne obszary działalności naszego państwa.

••• **A konkretnie?**

– Jeden jest optymistyczny, a drugi pesymistyczny. Ja jestem skłonny uważać, że ten drugi, niestety, jest bardziej prawdopo-



**Prof. dr hab.
ANDRZEJ DRABIŃSKI**

Jest profesorem zwyczajnym w Instytucie Architektury Krajobrazu. Specjalizuje się w dziedzinie gospodarowania wodą w stawach rybnych, obiegu wody w zlewniach rolniczych, kształtowania i ochrony środowiska oraz inżynierii, kształtowania i ochrony krajobrazu. Pełnił funkcję dziekana Wydziału Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji w latach 1999–2005. Od roku 2008 pełni funkcję prorektora ds. rozwoju i informatyzacji uczelni (obecnie – rozwoju uczelni).

dobny. W dłuższej perspektywie kontynuowany będzie drenaż mózgów. Wyjeżdżają najlepsi, a nie najgorsi. Konsekwencją tego jest taka, że kapitał intelektualny, jak to określają liberałowie, będzie stopniowo przechodził do państw wyżej rozwiniętych. Oczywiście również naszym kosztem. Polska zaś będzie uczestniczyła w tych przemianach na poziomie europejskim, zgodnie z tofflerowską tezą o aksamitnej kolonizacji. Będziemy odgrywać rolę kolonii, stanowiącej zaplecze siły roboczej bądź prostej technologii dla ośrodków prawdziwego postępu czy innowacji skupiających europejski i światowy kapitał intelektualny.

••• **Jak ten proces wygląda z punktu widzenia świata?**

– Zbadano liczbę studentów zagranicznych na świecie w latach 1975–2012. W roku 1975 wynosiła ona 0,8 miliona, a w 2012 – 4,5, a więc nastąpił 5,5-krotny wzrost. Kraje o najwyższym współczynniku umiędzynarodowienia to Australia – 18,3 procent, Wielka Brytania – 17, Szwajcaria 16,5, podczas gdy średnia OECD wynosi 7,1 procent.

••• **Jak na tym tle wygląda Polska?**

– Niestety źle, bo u nas współczynnik umiędzynarodowienia wynosi poniżej 1 procenta. Polska tak naprawdę nie ma re-

alnej strategii rozwoju szkolnictwa wyższego. I nie wynika to tylko i wyłącznie z tego, że rządzący nie mają możliwości intelektualnych opracowania takiej strategii. Po prostu jesteśmy na takim etapie rozwoju. Kiedy na początku transformacji ówczesne ministerstwo pytało uczelnie publiczne, w tym i naszą, czy jesteśmy w stanie z uwagi na czynnik demograficzny przyjąć dwa razy więcej studentów, odpowiadaliśmy, że owszem tak, ale pod warunkiem, że będą na to dwa razy większe środki. Ponieważ środków nie było, ministerstwo zrobiło to, co mogło, czyli otworzyło furtkę dla uczelni prywatnych.

••• **Które dzisiaj są w kryzysie.**

– Ale wtedy przejęły kilkaset tysięcy ludzi i dobrze, że to zrobiły, bo albo trzeba by tym ludziom płacić zasiłek dla bezrobotnych, albo by ich kilkaset tysięcy więcej wyjechało. Wielka emigracja po powstaniu listopadowym, o której pisano, że była ciosem dla tkanki społecznej, to kilkanaście tysięcy osób, a dzisiaj mówi się o odpływie 2,5 miliona Polaków. Nie wiem, czy można porównywać te procesy historyczne, ale przy takiej prostej ekstrapolacji kilka pokoleń będzie odczuwało skutki obecnej skali emigracji.

studentów z Ukrainy: w ciągu dziewięciu lat z niecałych 2000 do ponad 15 tysięcy w roku akademickim 2013/2014. Kolejny wybierany kierunek to studia ekonomiczne, nauki społeczne, stosunki międzynarodowe. Te ważne z naszego punktu widzenia są na samym dole. Prawda jest brutalna: prorektor Uniwersytetu Warszawskiego powiedziała w Lublinie, że w tym zakresie, w którym są najsilniejsi, a więc w naukach ścisłych i przyrodniczych, mają najmniej studentów zagranicznych. Trudno oczekiwać, że my będziemy mieli lawinowy wzrost zainteresowania studiami na kierunkach rolniczych. Postawmy się zresztą w roli rodziców studenta z Ukrainy, który chce wyjechać na Zachód, bo Polska to dla nich jest Zachód. Jaki kierunek powinien wybrać, by mieć zawód i możliwości zatrudnienia?

••• Medycynę?

– Ekonomię, nauki społeczne, techniczne. Nie rolnictwo, nie fizykę czy inne wąskospecjalistyczne zawody, w których pracy w Polsce też się łatwo nie znajdzie. Mamy 22,5 procent bezrobotnych wśród absolwentów podstawówek i gimnazjów, a to oznacza, że wybór studiów naprawdę jest bardzo poważną decyzją.

••• Co w takim razie robią państwa, które są w czołówce umiędzynarodowienia?

– Mają politykę nie tylko w zakresie szkolnictwa wyższego, lecz dotyczącą internacjonalizacji. Umiędzynarodowienie dotyczy całej elity społeczeństwa. Uniwersytet Warszawski chwali się, że licząc studentów zagranicznych tak zwanych długoterminowych, czyli studiujących dłużej niż jeden rok, na 44 700 studentów w sumie ma niecałe 2000 zagranicznych. To jest 3,6 procent. Jeżeli się uwzględni krótkoterminowych, czyli przyjeżdżających na semestr, to ta średnia wzrasta do 4,3, ale średnia w OECD to 7 procent, a do lidera – Australii, gdzie przypomnę, umiędzynarodowienie wynosi ponad 18 procent – mamy bardzo, ale to bardzo daleko.

••• Australią nie będziemy, czy jest więc sens walczyć?

– Musi być system. Spójrzmy na Niemcy, które mają różne systemy stypendialne, między innymi DAAD. Podobnie robią Amerykanie. Chiny rocznie wysyłają na studia za granicę milion studentów. Prezydent Putin wydał dekret, na mocy którego państwo sfinansuje wyjazdy 100 tysięcy młodych ludzi na przodujące uczelnie światowe. Podobnie postępował Piotr Wielki. I warto przypomnieć, że my kiedyś też mieliśmy rozwiązania systemowe w tym względzie.

••• Jakie?

– Przyjmowaliśmy studentów z Afryki, z Azji, z krajów komunistycznych. Były w tym względy polityczne, bo jeżeli ktoś chciał awansować, to dobrze, by w CV miał dyplom uniwersytetu z kraju socjalistycznego. Ale też powiedzmy sobie szczerze, że taki na przykład student z Konga, po powrocie do kraju, odwdzięczał się Polsce. Wygrywaliśmy kontrakty, zamawiano u nas technologie, ściągano naszych specjalistów. Tak to działało i tak działa. Niemcy kształcą studentów na poziomie MBI w rolnictwie, ściągając ich na praktyki do siebie, pokazując kulturę, mechanizmy, systemy, a najlepszych absolwentów zatrudniają w swoich firmach zagranicznych. To

jest owa aksamitna kolonizacja. Jeżeli państwo nie będzie miało polityki w zakresie rozwoju nauki i szkolnictwa wyższego, to rozmawianie o misji cywilizacyjnej, rozwoju opartym na wiedzy jest narracją polityczną od wyborów do wyborów, ale bez treści. Musi też być przemyślany długofalowy system stypendiów. Niektóre państwa wysyłają za granicę, dają stypendium, ale warunkiem jest powrót i praca w kraju przez określoną liczbę lat. Czy powinniśmy wysłać młodych ludzi za granicę? Tak, powinniśmy.

••• Mówi to Pan z takim przekonaniem.

– Bo student, który był za granicą, wraca inny, przynosi też swoją wiedzę na koleżanki i kolegów. Podobnie pracownik naukowy. Oczywiście mówiąc o plusach, musimy też widzieć minusy czy problemy, które za tym idą. Różnice kulturowe mogą rodzić konflikty, jednocześnie jednak uczą nas wzajemnej tolerancji i zrozumienia dla inności. Poza tym na przykład z Ukrainy na studia przyjeżdżają do nas dzieci, bo tam maturę zdają 17-latkowie, którzy w rozumieniu naszej Konstytucji nie mają pełnej zdolności prawnej.

Albo będziemy się nadawać tylko do prostych czynności, albo potrafimy się dokształcić i wejść w obieg międzynarodowy.

••• Zgodnie z zaleceniami OECD do 2020 roku umiędzynarodowienie studiów ma osiągnąć wskaźnik 20 procent.

– A mamy rok 2015 i w ciągu pięciu lat nie jesteśmy w stanie dojść do takiego poziomu, bo nie wysłamy za granicę 300 tysięcy studentów. Bez względu na to, kto będzie rządził, jeśli ten ktoś nie przeznaczy realnych pieniędzy na uczelnie, sytuacja nie ulegnie radykalnej zmianie. Oczywiście uczelnie osiągają to umiędzynarodowienie inaczej, tworząc na przykład wspólne kierunki z uczelniami zagranicznymi. W Łodzi jeden semestr przeznaczają się na internacjonalizację: studenci mają do wyboru wyjazd za granicę, staż w firmie zagranicznej lub udział w badaniach, które są finansowane przez źródło zagraniczne i w zespole międzynarodowym. To są jednak próby podejmowane oddolnie, a kluczowe powinno być rozwiązanie systemowe, inaczej państwa bogatsze cały czas będą daleko na przodzie peletonu, a my nie będziemy w stanie ich dogonić. Jeżeli państwu zależy na internacjonalizacji, to uczelnie muszą mieć wsparcie. I ono nie musi oznaczać tego, że pieniądze będą zasilaly bezpośrednio konto uczelni. To może być system stypendialny na poziomie państwa, w którym do polskiego DAAD zgłasza się kandydat na przykład z Ukrainy zainteresowany konkretnymi studiami i my, jako państwo możemy mu je zaproponować na konkretnych uczelniach, ale na określonych warunkach. To naprawdę jest poważna sprawa i *de facto* wyznaczająca i pozycję Polski na arenie międzynarodowej, i naszą realną siłę w tym, co się nazywa gospodarką opartą na wiedzy. •

Związki uczelni jako opcja dla tworzenia „uniwersytetu badawczego”

KRAKÓW PIERWSZY

Wrocławskie uczelnie pierwsze w Polsce zaczęły podnosić kwestię budowy porozumienia, ale ostatecznie to krakowskie zdecydowały się na stworzenie związku InnoTechKrak. Powstaje nowa jakość w polskim szkolnictwie wyższym?

Uniwersytet Aarhus w Danii kilka lat temu połączył się z mniejszymi ośrodkami akademickimi i badawczymi. Dzięki tej decyzji – odpowiedzi na globalne wyzwania – oraz przy rządowym wsparciu, uniwersytet miał w 2011 roku blisko 40 tys. studentów, z czego niemal połowę stanowili studenci studiów magisterskich, doktoranckich i podyplomowych. Roczny budżet uniwersytetu to około 900 mln euro. To jeden z przykładów inicjatyw, które są coraz częściej obserwowane również w Europie, a których nadrzędnym celem jest koncentracja potencjału oraz lepsze wykorzystywanie bazy i środków.

Na podobny krok zdecydowały się trzy krakowskie uczelnie, które pod

koniec kwietnia podpisały umowę – zgodnie z nią Akademia Górniczo-Hutnicza, Politechnika Krakowska i Uniwersytet Rolniczy stały się związkiem uczelni o niezbyt atrakcyjnie brzmiącej nazwie – InnoTechKrak. Sygnatariusze podkreślają, że głównym celem związku jest zwiększenie potencjału i konkurencyjności w zakresie badań naukowych i dydaktyki, co ma ułatwić sięganie po duże, unijne środki na badania, np. w ramach programu Horyzont 2020.

DUŻY MOŻE WIĘCEJ?

– Prowadzenie badań naukowych w dużej mierze wiąże się z posiadaną bazą laboratoryjną. Nowoczesne urządzenia są drogie zarówno przy zakupie, jak i obsłu-

dze. Powstanie związku ułatwi nam korzystanie na preferencyjnych zasadach z naszych laboratoriów, co w automatyczny sposób zwiększa nasz potencjał badawczy – to opinia prof. KAZIMIERZA FURTKA, rektora Politechniki. Rektor Uniwersytetu Rolniczego prof. WŁODZIMIERZ SADY podkreślał z kolei korzyści w sferze dydaktyki: – Jeśli tylko i wyłącznie będziemy się wzajemnie informować o zapleczu dydaktycznym, jakie mamy do dyspozycji, i możliwości wspólnego korzystania, a także o kadry dydaktycznej, to nasze możliwości kształcenia i podniesienia jakości kształcenia znacznie wzrosną.

Tym samym Kraków postrzegany powszechnie jako miasto, a co za tym

i środowisko akademickie, raczej konserwatywne i ostrożne wobec zmian, ubiegł Wrocław, gdzie pięć lat temu podpisano Deklarację Pawłowicką, mającą być wstępem do integracji wrocławskich uczelni. Nie tylko do ich formalnej fuzji, ale nawet związku kilku z nich nie doszło.

SŁABOŚĆ: ROZDROBNIENIE

Dr JAN SADLAK, od 2009 roku prezydent IREG Observatory on Academic Ranking and Excellence, były profesor i prorektor ds. współpracy międzynarodowej Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, komentując kilka lat temu wrocławskie przymiarki do stworzenia związku uczelni, nie krył, że kibicuje pomysłowi, argumentując, że „polskie szkolnictwo wyższe cierpi ze względu na instytucjonalne i programowe rozdrobnienie”. I przypominał, że analizował – na zaproszenie rektora WŁODZIMIERZA KURNIKA – pozycję Politechniki Warszawskiej w rankingach międzynarodowych. Podstawowy wniosek, w uproszczeniu, był następujący: niewystarczająca międzynarodowa atrakcyjność, rozdrobnienie potencjału badawczego oraz tempo rozwoju, które jest mniejsze w porównaniu z innymi uczelniami. Słowem: inni idą do przodu jeszcze szybciej. I dlatego, przekonywał, trzeba śledzić, co robią inni – a zwłaszcza te uczelnie, które osiągają dobre wyniki w międzynarodowych rankingach.

WALKA O DOMINACJĘ

Ten szybki marsz, w którym polskie szkolnictwo wyższe cały czas próbuje dogonić peleton, wynika z międzynarodowej walki o dominację w obszarach, które są istotne dla tego, co się rozumie



Minister nauki i szkolnictwa wyższego Lena Kolarska-Bobińska oraz od lewej: prof. dr hab. inż. Włodzimierz Sady – Uniwersytet Rolniczy im. Hugona Kołłątaja w Krakowie, prof. dr hab. inż. Kazimierz Furtak – Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki, prof. dr hab. inż. Tadeusz Słomka – Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie, podczas konferencji prasowej w Warszawie dotyczącej pierwszego w Polsce formalnego związku uczelni, jaką stworzyły Akademia Górniczo-Hutnicza, Politechnika Krakowska oraz Uniwersytet Rolniczy

fol. PAP/Jakub Kamiński, 23.04.2015

pod ogólnym określeniem „gospodarka oparta na wiedzy”. Jednym z wyznaczników pozwalających określić możliwości konkurowania w tego typu gospodarce jest „innovacyjna sprawność”, której źródłem są badania. Trzeba wyraźnie i stale podkreślać, że czas pomiędzy publikacją naukową a wdrożeniem jej efektów staje się coraz krótszy. To zaś jest jeden z powodów przywiązywania dzisiaj tak dużej wagi do ilości oraz jakości badań i wynikającej z tego pozycji uczelni w rankingach międzynarodowych, które dosyć sprawnie oceniają właśnie poziom badań (metodologiczne przeszkody ograniczają ocenę kształcenia).

RANKINGOWY SZOK

W tej sytuacji „pozycja uniwersytetów” w międzynarodowych rankingach ma swój wymiar polityczny. We Francji kilka lat temu słaba pozycja uczelni w prestiżowym rankingu szanghajskim (Academic Ranking of World Universities – ARWU) była dużym zaskoczeniem a w prasie pojawiło się nawet określenie „shock d’Shanghai” – ale za tym szokiem poszły działania. W 2009 roku ówczesny prezydent Francji NICOLAS SARKOZY powierzył dwóm byłym premierom – li-

berałowi ALAINOWI JUPPÉ i socjaliście MICHELOWI ROCARD, przygotowanie dokumentu, którego celem było określenie działań niezbędnych do polepszenia potencjału innowacyjności i konkurencyjności Francji w oparciu o odpowiednio wzmocniony system badań i innowacyjności.

MILIARDY NA UCZELNIE

Skutkiem raportu Alaina Juppé i Michela Rocard było podjęcie decyzji o „publicznej pożyczce” z budżetu państwa w wysokości 35 mld euro na podwyższenie potencjału innowacyjności, z czego 16 mld zostało przeznaczonych na szkolnictwo wyższe i badania, głównie przez utworzenie 5 do 10 światowej klasy uniwersytetów badawczych. Jednym z wybranych w wyniku konkursu projektów jest Université Paris-Saclay, powstający w oparciu o łączenie 19 już istniejących uczelni, *grandes écoles* i instytutów badawczych. Ta mająca funkcjonować pod jedną nazwą uczelnia na południu Paryża to około 50 tys. studentów i około 14 tys. naukowców i pracowników laboratoriów badawczych. Dotacja przewidziana na ten projekt to kwota 1,5 mld euro. •

JEST POTENCJAŁ DO AWANSU, ALE...

Rozmowa z dr. **JANEM SADLAKIEM**,
prezydentem IREG Observatory
on Academic Ranking and Excellence



••• Kibicował Pan podpisanej swego czasu we Wrocławiu Deklaracji Pawłowickiej, mającej być pierwszym krokiem do porozumienia tutejszych uczelni.

– Kibicowałem, bo również w Polsce rośnie zrozumienie, że jedną z dróg pozwalających na zwiększenie potencjału badawczo-innowacyjnego jest tworzenie silnych ośrodków naukowo-badawczych przez tworzenie związków uczelni. Dlatego z wielką nadzieją przyjąłem wcześniej wiadomość o Deklaracji Pawłowickiej, a teraz z nie mniejszym zainteresowaniem będę patrzył na to, jak realizowana jest decyzja o związku tych trzech krakowskich uczelni. Niestety, niewiele wiemy o tym, czy ta inicjatywa ma odpowiednie wsparcie finansowe...

••• Czyli ile jest przysłowiowej marchewki?

– Tak, bo pomimo wzrostu nakładów, sprawa finansowania polskiego szkolnictwa wyższego i nauki jest nieprzystosowana do działań, których celem ma być znacząca poprawa międzynarodowej pozycji polskiego szkolnictwa wyższego. To przecież wiąże się koniecznością stworzenia zasad funkcjonowania kilku elitarnych uniwersytetów badawczych. Jak na razie, taka propozycja nie znajduje wystarczającego poparcia ani w środowisku akademickim, ani w kręgach politycznych.

••• Niedawno był Pan ponownie w Chinach, gdzie stale uczestniczy Pan w pracach przy rankingu szanghajskim.

– Faktycznie, byłem w lutym tego roku w Chinach z okazji oficjalnego ogłoszenia wyników pierwszego narodowego rankingu wyższych uczelni, których program nauczania obejmuje przynajmniej stopień licencjatu (*bachelor*). Sklasyfikowanych w nim zostało ponad 850 uczelni. Interesujące jest to, że wynik tego rankingu potwierdził znaczne zróżnicowanie pomiędzy niewielką grupą czołowych uczelni – około 60–80 – a znacznie większą liczbą szkół wyższych. Czyli mamy potwierdzenie tego, że tylko niewielka liczba uczelni może aspirować do tej najbardziej renomowanej grupy. Akceptacja takiej „nierówności” również w Chinach napotyka na opór zwłaszcza w środowisku akademickim przyzwyczajonym do wąsko pojmowanej „akademickiej równości”.

••• Mówił Pan o tym również w Polsce.

– Tak, problem ten w odniesieniu do polskich uczelni podniosłem w prezentacji na Kongresie Kultury Akademickiej, jaki odbył się z inicjatywy Uniwersytetu Jagiellońskiego w marcu 2014 roku. Analizując pozycję polskich uczelni w głównych międzynarodowych rankingach, pokazałem, że na przykład w szanghajskim, obok Uniwersytetu Warszawskiego i Jagiellońskiego, które są w pierwszej pięćsetce, możliwości awansu to tej pięćsetki mają uniwersytety: Wrocławski, Poznański, Toruński, Gdański oraz politechniki: Warszawska, Wrocławska, Gdańska i AGH. To te uczelnie, które powinny, we własnym i ogólnym interesie, podjąć się działań integracyjnych.

••• Perspektywa „marchewki” je przekona?

– AGH już zrobiło pierwszy krok w tym kierunku. Mam nadzieję, że inicjatywa ta będzie też dotyczyć działań, które wiążą się z umiędzynarodowieniem – bo z nim polskie szkolnictwo wyższe, o dziwo, ma szczególne trudności. Mam na myśli nie tylko programy studiów w języku obcym, oczywiście głównie angielskim, ale szeroko rozumiane umiędzynarodowienie w takich obszarach, jak na przykład zarządzanie. Dla czego rektorem polskiego uniwersytetu nie mógłby zostać Niemiec albo Brytyjczyk? Tego rodzaju przykładów otwarcia na najlepszych jest coraz więcej również w Europie.

••• Jesteśmy skazani na miejsce w środku stawki?

– Mam nadzieję, że nie na długo. Według mojej oceny przesadą jest twierdzenie o generalnym kryzysie polskiego szkolnictwa wyższego. Mamy do czynienia raczej z pełzającą niewydolnością aktualnego systemu. Widać poprawę, jeśli chodzi o infrastrukturę i laboratoria, ale coraz wyraźniejsza jest potrzeba zmian systemowych. I to dosyć radykalnych. Ewentualna poprawa pozycji polskich uczelni będzie w znacznej mierze miernikiem efektywności tych zmian. Ważnym głosem w tej sprawie jest niedawno opublikowany raport „Program rozwoju szkolnictwa wyższego do 2020 roku”, który został przygotowany wspólnie przez KRASP, czyli Konferencję Rektorów Akademickich Szkół Polskich i Fundację Rektorów Polskich. Potrzeba systemowych zmian w polskim szkolnictwie wyższym jest faktem. •

Od innowacyjności polskiej gospodarki zależy nasza przyszłość

MUSIMY BYĆ AMBITNI



Rozmowa z **ŁUKASZEM JASKIEM**,
kierownikiem Sekcji Programowania i Polityki Unii Europejskiej
Narodowego Centrum Badań i Rozwoju

••• W nowej perspektywie budżetowej Unii Europejskiej nastąpiło przesunięcie funduszy europejskich na tak zwaną innowacyjność w gospodarce. Ta kojarzy się z wynalazczością, patentami, rozwojem technologicznym, ale okazuje się, że to może być również na przykład usługa. Jak owa innowacyjność wygląda z punktu widzenia Narodowego Centrum Badań i Rozwoju?

– W NCBR koncentrujemy się na badaniach przemysłowych i rozwojowych i tym właśnie obszarom dedykowane są nasze działania. W nowej perspektywie unijnej przeznaczamy jeszcze więcej pieniędzy na wsparcie innowacji. Podczas gdy w perspektywie 2007–2013 w większym stopniu mogły z nich korzystać bezpośrednio jednostki naukowe, to obecnie będziemy kierować więcej pieniędzy – procentowo i kwotowo – do przedsiębiorców.

••• Czyli w obszarze, który od dawna określa się mianem pięty achillesowej polskiej gospodarki.

– To prawda. Rzeczywiście cechą naszej gospodarki jest niski stopień aktywności przedsiębiorców w obszarze B+R, a co

za tym idzie, również wciąż zbyt niskie nakłady na prace badawczo-rozwojowe.

••• Co wynika ze strachu przed ryzykiem.

– Oczywiście. Przecież takie wydatki to inwestycja, która przynosi profity dopiero w dłuższej perspektywie niż inwestycja w maszyny czy nową sieć sprzedaży. Ale nie zmienia to faktu, że innowacyjność z punktu widzenia NCBR polega na pracach prorozwojowych, badaniach przemysłowych, opracowywaniu nowych technologii i inwestowaniu w nie. Te wszystkie działania razem oznaczają pojawianie się na rynku nowych produktów, usług i technologii, które – taką mamy nadzieję – będą decydowały o konkurencyjności polskiej gospodarki na globalnym rynku.

••• Zwiększenie dotacji dla przedsiębiorców jest obwarowane warunkami dotyczącymi wdrażania przez nich myśli technologicznej, która rodzi się na polskich uczelniach?

– Nie ma takiego warunku, choć byłoby to pożądané. Bardzo chętnie byśmy widzieli współpracę przedsiębiorców z nauką,

przede wszystkim z instytutami badawczymi, ze szkołami wyższymi i instytutami PAN. W tej chwili analizujemy jednak rozwiązanie dające pewne preferencje światu nauki, jeśli chodzi o wykonawstwo w projektach realizowanych przez przedsiębiorców.

••• To znaczy?

– Jeżeli przedsiębiorca planuje jakieś badania, część z nich może zrobić sam, ale część może zlecić jednostce naukowej. W rozważanym przez nas zapisie, jeśli będzie chciał je zlecić jednostce naukowej, po prostu wybierze najlepszą i podpisze z nią umowę.

••• To gdzie jest ten haczyk?

– Jeżeli będzie chciał zlecić badania innemu przedsiębiorcy, będzie musiał pytać nas o zgodę. A to oznacza, że łatwiej, choćby z powodów proceduralnych, będzie iść na współpracę z naukowcami. Podkreślam jednak, to rozwiązanie jest na etapie konsultacji.

••• Przyznajecie granty na badania, które powinny kończyć się wdrożeniami. Jesteście więc rodzajem łącznika pomiędzy polską nauką a biznesem. Jak z waszej perspektywy wygląda współpraca przedsiębiorców z naukowcami?

– Wciąż dostrzegamy problemy ze wzajemnym zrozumieniem, bo inne są oczekiwania, tempo pracy czy – jeszcze szerzej – podejście do realizacji projektu. Nauce się nie spieszy. Nauka nie patrzy tylko na przydatność prac badawczo-rozwojowych dla przemysłu i nie ogląda złotówki z każdej strony, choć faktem jest, że każda złotówka jest w nauce ważna. Z kolei, jeżeli przedsiębiorca nie wykona szybko konkretnego badania, nie przełoży go na wdrożenie, to ma tylko koszty i to bez zysków. Dlatego „nauka dla samej nauki”, „badania dla samych badań” go nie interesują. Możemy też mówić o ważnych różnicach organizacyjnych: z jednej strony mamy jednostki sektora finansów publicznych, z drugiej prywatnych przedsiębiorców. I to z powodu tych wszystkich różnic organizacyjnych te dwa światy mają trudności w komunikacji i wspólnym rozumieniu projektów i celów. Polski przedsiębiorca wciąż woli kupić gotowe rozwiązanie niż tworzyć u siebie komórkę badawczo-rozwojową i w niepewności czekać na rezultaty prowadzonych przez nią badań. W efekcie polska kultura innowacyjności jest wciąż dość uboga.

Polski przedsiębiorca wciąż woli kupić gotowe rozwiązanie niż tworzyć u siebie komórkę badawczo-rozwojową i w niepewności czekać na rezultaty prowadzonych przez nią badań.

••• Ale można stymulować jej rozwój choćby poprzez konferencje czy seminaria, które stałyby się miejscem uczenia się nawzajem tych dwóch światów, bo przecież one nie są od siebie oderwane.

– NCBR nie ma specjalnie dedykowanych programów działań, które budowałyby takie platformy, jak je pani nazwała, wzajemnego uczenia się siebie. Ale przedsiębiorca realizujący projekt zawsze ma do dyspozycji środki w ramach kategorii o nazwie „koszty promocji”. I to w ramach tych kosztów może nie tylko promować swój projekt, lecz uczestniczyć w konferencjach czy wręcz je samemu organizować. Warunek jest tylko jeden: ktoś musi chcieć wykonać pewne działania.

••• W ramach projektu Tango grant dostał dr inż. WITOLD ROHM z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. W przyznanych mu funduszach jest pula pieniędzy przeznaczona na badanie rynku pod kątem firm zainteresowanych produkcją. Jak częsty jest taki warunek w grantach, które realizują naukowcy?

– Z roku na rok takich kategorii kosztów w projektach, programach przeznaczonych dla świata nauki jest więcej. Coraz częściej myślimy o tym, aby naukowiec miał możliwości kontaktu ze światem przedsiębiorców, a czasem wręcz to wymuszamy. Jednym ze wskaźników innowacyjności gospodarki jest liczba zarejestrowanych patentów.

••• Ale spotkałam się z opinią, że to są zbyt duże koszty, a jeśli nie odnowi się rejestracji to de facto opatentowane rozwiązanie staje się własnością publiczną i każdy może z niego skorzystać.

– Tu nie ma prostej odpowiedzi, bo w niektórych branżach technologia tak szybko się zmienia, że faktycznie nie ma sensu patentować każdego kolejnego rozwiązania. Z jednej strony, jeśli coś opatentujemy, to konkurencja ma dostęp do danych i może sprawdzić, w którym kierunku iść z własnymi badaniami, ale jednocześnie są branże, w których patent oznacza zabezpieczenie przyszłych działań i zysków. Wiele zależy od tego, ile potencjalnie warte jest wymyślone przez nas rozwiązanie. I to jest zawsze indywidualna decyzja przedsiębiorcy.

••• Kilka lat temu na zlecenie Ministerstwa Gospodarki opracowano raport, z którego wynikało, że europejską czołówkę dogonimy za jakieś 10 lat, choć właściwie należałoby akcentować fakt, że przez ten czas nikt nie zamrozi własnych badań. Jak według NCBR wygląda ten wyścig, czy ten dystans do czołówki się skraca? Czy mamy szanse dogonić może nie sam top, ale chociaż średnią peletonu?

– Robimy wszystko, co tylko można zrobić. Czy to przełoży się na wskaźniki i realny poziom rozwoju gospodarki? Moim zdaniem, wszelkie wskaźniki makro- i mikroekonomiczne powinny być określane relatywnie, na przykład za pięć lat mamy osiągnąć 65 procent poziomu Piętnastki, a za dziesięć – 75. Bo jeśli teraz podwoimy liczbę patentów – to jest dobrze czy źle?



••• **Jeśli nie pójdą za nimi wdrożenia, to nie będzie to mieć żadnego znaczenia.**

– To był tylko przykład. W takim razie niech będą wdrożenia: jeżeli podwoimy ich liczbę, to będzie dobrze czy źle? A może naszą ambicją ze względu na zapóźnienia powinno być potrójnie? Osobiście uważam, że powinniśmy być maksymalnie ambitni i wymagający wobec siebie, a punktem odniesie-

nia powinny być kraje unijnej 15, a nie średnia 27 państw członkowskich. Inaczej w ogóle nie warto się starać. Albo będziemy walczyć o to, by dorównać najlepszym, albo możemy sobie iść na kawę.

••• **Jak ocenia Pan pomysł profilowania gospodarczego regionów Polski? Na Dolnym Śląsku takimi wiodącymi obszarami**

są farmacja, informatyka i biotechnologia, w rejonie Rzeszowa lotnictwo.

– To jest dobry pomysł, ale odwróciłbym sprawę i zapytał o to, dlaczego lotnicy w Rzeszowie mają taką pozycję.

••• Dlaczego?

– Bo się najpierw sami ze sobą dogadali. Podobnie zresztą było we Wrocławiu czy Płocku, polskiej stolicy chemii. Państwo powinno ułatwiać, nie przeszkadzać i dać zadziałać rynkowi, a nie odgórnie inicjować czy narzucać, bo to się nie sprawdza. Jestem sceptycznie nastawiony do prób tworzenia jakichkolwiek tego typu struktur czy klastrów odgórnie. To zawsze powinna być inicjatywa oddolna. A jeśli zaczyna działać i zaangażowane w nią podmioty potrzebują wsparcia, to wtedy jest miejsce na ruch ze strony państwa, a zatem także takich jednostek jak nasza.

••• To proszę mi powiedzieć, gdzie w tym wszystkim jest edukacja? Jak można oceniać elastyczność oferty pod kątem zapotrzebowania rynku?

– Szkolnictwem wyższym zajmujemy się w zakresie wsparcia edukacji kadr dla nowoczesnej gospodarki. Zapotrzebowanie na specjalistów kształtuje przede wszystkim rynek, ale mogę pani z własnych obserwacji powiedzieć, że generalnie lepiej, by mury polskich uczelni opuszczali biotechnolodzy, chociaż sam jestem socjologiem i politologiem z wykształcenia. Mówię o tym ze względu na specyfikę pro-

cesu kształcenia i poszczególnych branż: biotechnolog zawsze ma szansę zostać socjologiem. Odwrotnie takie poszerzenie kompetencji jest prawie niemożliwe. A nasza gospodarka potrzebuje nie tylko dobrze wykształconych, ale i potrafiących elastycznie podchodzić do zachodzących wokół nich zmian specjalistów.

••• Ale jako socjolog i politolog pracuje Pan w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju nad strategią wydawania unijnych funduszy i de facto wpływa na kształt polskiej nauki i gospodarki.

– Jak rozumiem, chce pani wiedzieć, czy studia socjologiczne przygotowały mnie do tego, co robię. Tak, były bardzo ciekawe, poznałem wielu interesujących ludzi. Ale swoją karierę zawodową zaczynałem w Ministerstwie Gospodarki, potem byłem w resortach rozwoju regionalnego, nauki i szkolnictwa wyższego, i dopiero teraz jestem w NCBR. Tutaj zajmuję się procesami, projektami, programami, a więc czymś, co można nazwać rodzajem życia społecznego, bo przecież w tych przedsięwzięciach uczestniczy wiele różnych struktur. Zaprojektowanie programu i dobre poprowadzenie go tak, by pogodzić w działaniach różne interesy, to jest wiedza, którą zdobyłem na studiach. Dzięki niej umiem na przykład w programach świetnie wyglądających na papierze dostrzec elementy, które sprawiają, że ich realizacja się nie uda. Nie znam się na biotechnologii, informatyce, inżynierii materiałowej, choć akurat te obszary są szalenie cieka-

O WYZWANIACH NA MIARĘ NOWEJ RZECZYWISTOŚCI



► Prof. TADEUSZ TRZISZKA ► prorektor ds. nauki i innowacji

Najbliższe lata dla wielu uczelni i ośrodków badawczych będą swoistym testem. Wygrają te, które okażą się wiarygodnym i silnym partnerem dla instytucji zewnętrznych, zwłaszcza jednostek gospodarczych. W różnych programach operacyjnych uruchamiane są wielkie środki na identyfikację i rozwiązywanie problemów oraz poszukiwanie nowych pomysłów, czyli – na szeroko pojętą innowacyjność.

UCZELNIA JAK PRZEDSIĘBIORSTWO

Do jednostek naukowych większość pieniędzy będzie trafiać za pośrednictwem przedsiębiorstw. Każdy, kto udowodni, że potrafi lepiej gospodarować, skuteczniej poszukiwać efektywnych rozwiązań, łatwiej się komunikować – ma szansę nie

tylko uczestniczyć w podziale środków, ale także odegrać istotną rolę w rozwoju potencjału gospodarczego i konkurencyjności. By tę szansę wykorzystać, musimy na Uniwersytecie Przyrodniczym podjąć wspólny wysiłek zmian systemowych, a także mentalnych. Nie tracąc tego, co w idei uniwersytetu ważne, powinniśmy zachowywać się trochę jak wielkie przedsiębiorstwa biznesowe sprzedające naukę i zapewniające gospodarce wykształconą kadrę. Potrzebujemy kolejnych etapów internacjonalizacji wykraczającej poza wymiany studentów czy udział w konferencjach. Musimy być aktywni w międzynarodowych sieciach doktorskich, wirtualnych instytutach, międzynarodowych agencjach badawczych, wspólnocie wiedzy i innowacji.

Uniwersytet Przyrodniczy ma już za sobą pierwsze doświadczenia w komercjalizacji badań. O naszym badawczym

wie i osobiście kibicuję związanym z nimi projektom, ale moje, nazwijmy to humanistyczne przygotowanie pozwala mi na szersze spojrzenie i na pomysły, i na potencjalne efekty ich wdrożeń.

••• **Wiem, że nie powinnam o to Pana pytać, w końcu dzielicie pieniądze, ale wymienił Pan kilka obszarów badawczych, którym szczególnie kibicuje. Na pierwszym miejscu co by Pan postawił?**



23 kwietnia 2015 r. ruszyło pierwsze laboratorium projektu Biocervin, którego celem jest opracowanie produktów medycznych na bazie komórek macierzystych z poroży jeleni. To może być przetom w medycynie regeneracyjnej. Od lewej stoją rektor Roman Kołacz i prezes spółki Stem Cells Spin SA Grzegorz Smak

– Inżynierię materiałową. Wiedziała pani o tym, że polscy naukowcy pracują nad klejami, które w przyszłości mogą zastąpić spawanie w samolotach? Nowy klej może sprawić, że samolot będzie spalał 2 procent paliwa mniej, bo będzie lżejszy, a te 2 procent to gigantyczne oszczędności dla linii lotniczych. Albo z innej dziedziny: profesor medycyny z Warszawy wymyślił nowy sposób walki z rakiem. I nie polega on na nowym leku, ale na „opakowaniu” tych już stosowanych w terapii w cukrowe osłonki, dzięki którym substancja aktywna lepiej wnika w komórki rakowe. Najciekawsze jest to, że on nie wynalazł nowego leku, co jest i czaso-, i kosztochłonne, ale odkrył sposób, dzięki któremu leki już stosowane mogą być skuteczniejsze. I to jest prawdziwa innowacja.

To pokazuje, że najważniejszy jest pomysł i odwaga. Polska naprawdę ma wielu świetnych naukowców, nasze firmy stają się coraz bardziej konkurencyjne, wchodzą na rynki globalne, jak na przykład Solaris, Medical Algorithmics czy Sotrender. Zadaniem takich instytucji, jak Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, jest mądre wspieranie tych, którzy chcą i potrafią działać. •

potencjał świadczy 1200 publikacji naukowych rocznie, 69 projektów wynalazczych zgłoszonych w 2014 roku do opatentowania i 51 decyzji o przyznaniu patentów na wynalazki z lat poprzednich. Prowadziliśmy w ciągu roku 93 duże projekty finansowane przez NCBR i drugie tyle zleconych przez przedsiębiorstwa. UPWr jest udziałowcem instytucji zaangażowanych w transfer technologii i wspieranie innowacyjności – Wrocławskiego Parku Technologicznego i Wrocławskiego Centrum Badań EIT+. Mamy już znaczące doświadczenia współpracy z przedsiębiorstwami – klaster NUTRIBIOMED tworzy 50 jednostek gospodarczych.

KONKURENCJA JEST DUŻA

Innowacyjne badania na UPWr to bardzo szerokie spektrum tematów, które mogą być dla gospodarki cenne. Na przy-

kład: weterynaria z największym w Polsce projektem DEMONSTRATOR+ i sukcesami w badaniach nad wykorzystaniem komórek macierzystych; zaawansowane badania nad uprawami roślin, w tym lnu, prowadzone w kierunku zwiększenia zawartości substancji o wysokiej aktywności prowadzone na WPT; możemy odegrać szczególną rolę w gospodarce dzięki wiedzy o wodzie i budowach związanych z wodą; bardzo obiecujące są projekty geoinformatyczne i dotyczące OZE; nikt w Polsce nie ma też takiego dorobku jak UPWr w badaniach żywności funkcjonalnej i nutraceutyków, dobrze rokują też nasze badania nad geokompozytami sorbującymi wodę. Ale zważywszy potrzeby sektora rolno-żywnościowego, moglibyśmy znacznie więcej. Ludzie na naszej uczelni mają dużo dobrych pomysłów. Niestety, często zachowują je dla siebie albo realizują na ze-

wnętrz, poza uczelnią. Musimy usprawnić obsługę badań naukowych, aby pracowników motywować do realizacji dużych projektów i ułatwiać ich prowadzenie. Zwłaszcza że wchodzimy właśnie w wielkie systemy badawczo-wdrożeniowe – UPWr przystąpił do międzynarodowego konsorcjum Foodbest, będziemy się ubiegać o prawo utworzenia i prowadzenia Wspólnoty Wiedzy i Innowacji (KIC) „Żywność dla Przyszłości” (Food4Future) oraz utworzenia na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu Centrum Kompetencji i Badań.

Sukces całej naszej uniwersyteckiej wspólnoty zależy od tych dużych systemowych działań, a także od pracy i zaangażowania poszczególnych naukowców i zespołów badawczych oraz ich otoczenia. Konkurencja jest duża, jak zawsze gdy chodzi o wielkie pieniądze, stawka jeszcze większa: nasza przyszłość. •

Kiedy inżynieria środowiska
znajduje zastosowanie
w domowym ogródku,
na wielkiej plantacji i na pustyni

ŻADNE CZARY-MARY, TYLKO PRAWDZIWE WYNAŁAZEK



Dr KRZYSZTOF LEJCUŚ przyznaje, że ma ogródek i że ten niewielki kawałek ziemi nabral szczególnego znaczenia, stając się mimowolnym uczestnikiem jednego z ciekawszych przedsięwzięć naukowych na Uniwersytecie Przyrodniczym.

Pierwsze doświadczenia z geokompozytami odbywały się na warzywach zasadzonych w ogródku dr. Lejcuś: na selerze i na porze.

– Prawdę mówiąc, posadziliśmy je pod płotem i zapomnieliśmy o nich. A kiedy pod koniec lata wykopaliśmy te warzywa

i zobaczyliśmy różnicę w porównaniu z rosnącymi w ziemi bez geokompozytu, to się zdziwiliśmy. Bo były 2–3 razy większe od normalnych – mówi kierownik projektu GEOSAP „Geokompozyty sorbujące wodę – innowacyjne technologie wspomagające wegetację roślin”.

Ale zacznijmy od początku...

Superabsorbenty, czy inaczej mówiąc hydrożele, znane są od ponad 30 lat. Do tej pory w inżynierii środowiska próbowano stosować je w postaci bezpośredniej, mieszając z ziemią, tak jak się dodaje na przykład nawóz w postaci



Dr Krzysztof Lejcuś odbiera Złoty Medal za najlepszy wynalazek, przyznany podczas XXV Międzynarodowej Wystawy Innowacji, Innowacji i Technologii ITEX 2014 odbywającej się w Kuala Lumpur

granulowanej. Absorbent w środowisku laboratoryjnym, a więc na przykład w szklance, wchłaniał wodę i zamieniał się w żel. Ba, znano nawet jego chłonność – 1 g środka zatrzymywał 300 g wody. Sęk był jednak w tym, że wsypany do ziemi już tak przewidywalny nie był. A brak przewidywalności w tak poważnej dziedzinie gospodarki jak rolnictwo ma wymierne skutki finansowe i ostatecznie sorbenty odłożono na półkę z napisem „lepsze czasy”.

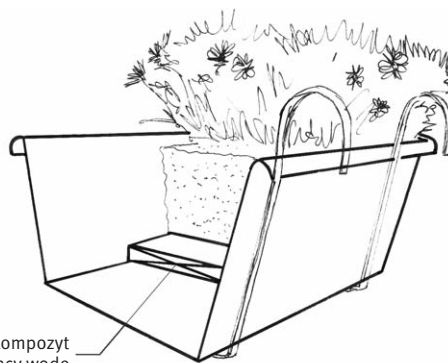
I TU WKRAZAJĄ WROCŁAWIANIE

Najpierw przysłała powódź, która w lipcu 1997 roku zdemolowała nie tylko wsie i miasta w południowej Polsce, lecz także

zniszczyła wały przeciwpowodziowe. Krzysztof Lejcuś chyba nie przewidywał wtedy, że po ukończeniu ochrony środowiska na Uniwersytecie Wrocławskim będzie robił doktorat z eutrofizacji, a do tego będzie mu potrzebny zbiornik wodny w Dobromierzu. Po uzyskaniu stopnia doktora na UPWr, został na tej uczelni. A jak został, to zaczął z kolegami z Instytutu Inżynierii Środowiska szukać czegoś, co można by wykorzystać do zabezpieczenia wałów przeciwpowodziowych, a więc skarp, przed osuwaniem. Słowem czegoś, co wiązałoby wodę z ziemią i systemem korzeniowym roślin, tworząc jedną strukturę.



Truskawki na plantacji doświadczalnej, badającej wpływ geokompozytów na plony



geokompozyt sorbujący wodę

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA

Geokompozyty absorbujące wodę nagrodzono na XXII Gali Wynalazków w Warszawie. Gala od 22 lat służy prezentacji polskiej myśli technologicznej. W tym roku naukowcy prezentowali swoje osiągnięcia z 2014 roku, stąd też zaproszono do udziału w niej Instytut Inżynierii Środowiska UPWr, który za opracowany geokompozyt wykorzystywany do wspomagania wegetacji roślin dostał w ubiegłym roku Złoty Medal za najlepszy wynalazek, przyznany podczas XXV Międzynarodowej Wystawy Innowacji, Innowacji i Technologii ITEX 2014 odbywającej się w Kuala Lumpur. W Malezji na jubileuszowej edycji targów zaprezentowano 16 polskich wynalazków. Best Invention – Overseas, najwyższe wyróżnienie dla wynalazków spoza Malezji, przyznawane jest jako jedna nagroda dla wszystkich kategorii wynalazków.



Bryła korzeniowa przerastająca geokompozyt sorbujący wodę

Pomysł prac nad geokompozytem sorbującym wodę pojawił się podczas wizyty w firmie produkującej maty bentonitowe, czyli materiały stosowane do uszczelniania budowli ziemnych. Tam jeden z pracowników zabawił się w magika i na oczach dr. hab. inż. DANIELA GARLIKOWSKIEGO i dr. inż. HENRYKA ORZESZYNA wsypał do szklanki z piwem garść granulek i po kilku minutach w szklance zamiast piwa był piwny żel.

– To był impuls do prac nad tym, jak ten granulat wykorzystać, by „łapał” wodę. Czy aplikować go bezpośrednio do ziemi? Co się będzie działo, jeśli umieści się go w skarpie? – dr Krzysztof Lejcuś przypomina pytania, jakie sobie zadawali na samym początku pracy, bo szybko okazało się, że granulat działa w ziemi w sposób nieprzewidywalny, a w dodatku pogarsza parametry gruntu na powierzchni pochyłej, co zamiast zwiększyć bezpieczeństwo skarpy, zmniejsza je, z możliwością katastrofy włącznie.

Lejcuś przyznaje, że zaczęli czytać wszystko, co tylko było dostępne w publikacjach naukowych na temat superabsorbentów. I wtedy pomogły im... pieluszki.

NIEMOWLĘTA W SŁUŻBIE NAUKI

– Wpadł mi w ręce artykuł naukowy o pieluszkach chłonnych. One również zawierają polimer wiążący wodę i zamieniający ją w żel. Autor tego tekstu napisał krótki akapit o tym, że istnieje parametr pęcznienia pod obciążeniem. To jest znany parametr, ba, w każdej książce o superabsorbentach jest mu poświęcony jeden rozdział, ale czasem potrzebny jest dodatkowy impuls, który sprawia, że zaczyna się wiązać ze sobą fakty i wnioski – przyznaje dr Lejcuś.

Dzięki pieluszkom grupa naukowców zaczęła robić pierwsze testy na prostym modelu i szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego ich superabsorbent pęcznieje w szklance, ale przysypyany ziemią już nie.

– Tłumacząc obrazowo, nasz polimer nie miał siły ani podnieść ziemi, ani rozepchać jej na boki. A przecież efektem zatrzymania przez niego wody było zwiększenie objętości, co obserwowaliśmy w szklance. I naszym zadaniem stało się znalezienie takiej formy, w której będzie on mógł spęcznić pod ziemią – mówi Krzysztof Lejcuś.

ZASTOSOWANIE GEOKOMPOZYTÓW SORBUJĄCYCH WODĘ

- ▶ na skarpach i nasypach drogowych, gdzie mają pozytywny wpływ na stan roślinności, stanowiąc element ubezpieczenia biotechnicznego skarp i nasypów drogowych oraz kolejowych
- ▶ w transporcie i przy przechowywaniu roślin ozdobnych, sadzonek drzew, krzewów, kwiatów
- ▶ w aglomeracjach miejskich, gdzie poprawiają stan terenów zieleni miejskiej
- ▶ w prowadzeniu zalesień i zakrzewień, szczególnie na terenach trudnych siedliskowo
- ▶ na zdegradowanych terenach poprzemysłowych
- ▶ w wybranych obszarach gospodarki rolnej, np. uprawie roślin jagodowych czy ozdobnych

Tak zaczęło się szukanie nie tylko konstrukcji, lecz także materiału, który ostatecznie zapewni sukces całemu przedsięwzięciu.

POSZUKIWANIA IŚCIE DETEKTYWISTYCZNE

Doktor hab. inż. Daniel Garlikowski jest specjalistą w zakresie geowłóknin.

– I prawdę mówiąc, myśleliśmy, że dobranie włókniny to będzie naprawdę prosta sprawa. Że ze 100 fantastycznych, wybierzemy 10 najlepszych i będziemy je testować. A tu się okazało, że owszem, wzięliśmy

do testowania 100 włóknin, ale żadna z nich nie chciała wpuścić wody do środka, do szkieletu, w którym był nasz superabsorbent – opowiada Daniel Garlikowski i od razu przyznaje, że to była prawdziwa naukowa zagadka. Bo z wiedzy posiadanej przez specjalistów Instytutu Inżynierii Środowiska wynikało, że zastosowane przez nich włókniny mają funkcję filtracyjną i drenującą, a ich zadaniem jest m.in. wpuszczanie wody do środka i nie wpuszczanie drobnych cząsteczek gruntu do wewnątrz.

– Dopiero metodą prób i błędów znaleźliśmy tę najlepszą włókninę, a potem odpowiedzieliśmy na pytanie, dlaczego ta nasza przepuszcza wodę, a pozostałe nie – dodaje Krzysztof Lejcuś, który nie zamierza dzielić się tą wiedzą publicznie. – Skoro myśmy potrafili się pomęczyć, to inni też mogą – śmieje się, choć przyznaje, że były momenty, kiedy wcale nie było im do śmiechu.

JAK SIĘ RODZI SUKCES?

Musieli mieć w sobie nie tylko ciekawość i determinację naukowców, ale też wolę walki i dużo optymizmu.

I wzajemne zaufanie, bo zbudowanie 45-osobowego zespołu, w którym



Filodendron w doniczce z geokompozytem i bez

pracowali specjaliści z najróżniejszych dziedzin też wcale nie jest łatwe.

Daniel Garlikowski przyznaje, że w ogóle projekt prowadzony w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka 2007–2013 był nietypowy, bo jego szefem został nie najbardziej zasłużony, ale jeden z najmłodszych pracowników Instytutu.

– I świetnie się w tej roli sprawdził – uśmiecha się, chwając dr. Krzysztofa Lejcusia. A ten żartobliwie dodaje: – Koledzy z Wydziału robili zakłady, kiedy się pokłócimy, kiedy ambicje osobiste zaczną brać górę. Nie wiem, czy obstawiali, ale jedno jest pewne – nikt nie miał szans na wygraną, bo żadnych kłótni nie było.

WALKA O PATENTY I O RYNEK

W 2012 roku spółka Getotabo kupiła od Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu wyłączną licencję na korzy-



Konferencja podsumowująca projekt i „ojcowie” sukcesu (od lewej): dr hab. inż. Daniel Garlikowski, dr inż. Henryk Orzeszyna, dr Krzysztof Lejcuś, dr inż. Andrzej Pawłowski

stanie z wynalazku „Element geokompozytowy, zwłaszcza do wspomagania vegetacji roślin” chronionego patentem krajowym nr PL 211198. Rynkowa nazwa produktu to HYDROBox.

Dobiegają końca starania o uzyskanie patentu europejskiego, rozpoczęto też procedurę rejestracji w amerykańskim urzędzie.

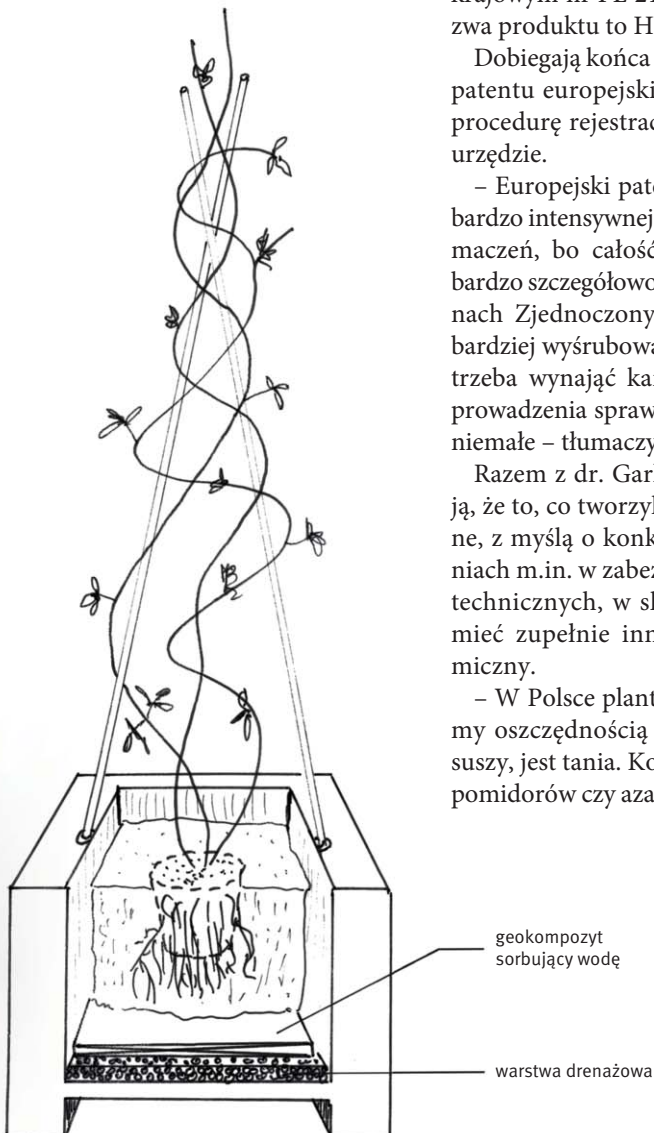
– Europejski patent wymagał od nas bardzo intensywnej korespondencji, tłumaczeń, bo całość dokumentacji jest bardzo szczegółowo sprawdzana. W Stanach Zjednoczonych te procedury są bardziej wyśrubowane, a poza tym, tam trzeba wynająć kancelarię prawną do prowadzenia sprawy, a to są koszty i to niemałe – tłumaczy dr Lejcuś.

Razem z dr. Garlikowskim przyznają, że to, co tworzyli na potrzeby lokalne, z myślą o konkretnych zastosowaniach m.in. w zabezpieczeniach hydrotechnicznych, w skali globalnej może mieć zupełnie inny kontekst ekonomiczny.

– W Polsce plantatora nie przekonamy oszczędnością wody, bo ta, mimo suszy, jest tania. Kogoś, kto ma hektary pomidorów czy azalii pod szkłem, prze-

kona wzrost plonów. Ale kiedy zaczęliśmy jeździć z naszym wynalazkiem po świecie, to się okazało, że na Bliskim Wschodzie spojrzenie na geokompozyt jest zupełnie inne – wyjaśnia szef projektu i dodaje, że najlepiej pokazać to na konkretnym przykładzie: z Dubaju do Abu Zabi w Emiratach Arabskich prowadzi autostrada, wzdłuż której rosną po trzy rzędy palm. Z każdej strony. Każda z tych palm jest osobno nawadniana, ale parowanie z gleby sięga nawet 80 proc. Tam nie ma znaczenia, jak szybko będzie rosła palma, ale ile wody można zaoszczędzić przy jej utrzymaniu, bo to są realne pieniądze.

– Można oszczędzić nawet kilkaset dolarów rocznie na jednej palmie. Dzięki naszemu geokompozytowi – Garlikowski i Lejcuś nie kryją dumy i trudno im się dziwić, bo przypominająca grzechotkę szkieletowa konstrukcja pokryta czarną włókniną, z superabsorbentem w środku, zdobyła już wiele nagród i wyróżnień w kraju i za granicą, a uczestnicy projektu zapraszani są, by zaprezentować innym to, co udało im się stworzyć. Tutaj. We Wrocławiu. Na Uniwersytecie Przyrodniczym. •



Projekt był prowadzony przez konsorcjum utworzone przez Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu – lidera i inicjatora, Politechnikę Wrocławską i Instytut Ekologii Terenów Uprzemysłowionych w Katowicach.

Koniec studiów
to dopiero początek.
Co o nim wiemy?

PROJEKT ABSOLWENT

Obowiązek dostosowywania oferty edukacyjnej do wymogów współczesnego rynku pracy wynika z „Prawa o szkolnictwie wyższym”, które nakłada na uczelnie obowiązek śledzenia karier zawodowych osób kończących studia. Bo najlepszym źródłem informacji jest absolwent.

Zaczął się od wycieczki absolwentów Uniwersytetu Stanforda do San Francisco. I od awantury. LARRY PAGE i SERGEY BRIN, twórcy Google'a, budowanie potęgi firmy rozpoczęli od wynajęcia garażu w kalifornijskim Menlo Park. Fenomen gospodarczych potęg to nie dzieło sprzyjającego losu, ale efekt ciężkiej pracy,



czasami silnych emocji, ale przede wszystkim idealizmu i kreatywności wpojonych przez uczelnie swoim absolwentom.

Jak uczyć? Jak przekazywać studentom wiedzę i umiejętności – nie po to, by tabelki sylabusów zgadzały się z Krajowymi Ramami Kwalifikacji, ale po to, by o absolwencie pisano w Wikipedii? Jak przekonać studentów, którzy lada dzień odbiorą dyplom, że przyszłość zaczyna się dzisiaj, wystarczy wyciągnąć do niej rękę, po to, by zmienić świat.



W rankingu „Wprost” Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu zajął 37. miejsce wśród uczelni, które na rynek pracy wypuszczają najbardziej poszukiwanych absolwentów. Z uczelni o profilu typowo przyrodniczym wyżej znalazły się jedynie Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie i Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu

Podczas konferencji TED „Ideas worth spreading” KEN ROBINSON, którego wykład obejrzało do tej pory ponad 33 mln internautów, stwierdził, że szkoły nie są w stanie przygotować swoich absolwentów na to, co wydarzy się za pięć, dziesięć, czy pięćdziesiąt lat. Nie dlatego, że się nie starają, ale dlatego, że to wręcz niemożliwe. Trendy, dynamika zmian stawiają uczelnie w trudnej sytuacji. Nadzieję budzi monitoring losów zawodowych absolwentów, badanie ścieżek kariery, które wskażą właściwą drogę rozwoju, bo eksperci ds. rekrutacji są zgodni – najlepszym sposobem, aby odnaleźć się na rynku pracy, jest nieustanne podnoszenie kwalifikacji i zdobywanie dodatkowych umiejętności na uczelniach, które nadążają za zmianami.

EFEKTYWNY I EFEKTYWNY

Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu znalazł się w gronie beneficjentów konkursu ogłoszonego przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju na projekt innowacyjny dofinansowany z Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki „PI – Mo-

onitoring losów absolwentów w kontekście dostosowania oferty edukacyjnej do potrzeb gospodarki opartej na wiedzy i wymogów rynku pracy”. Na uczelni powstał portal, który zbierając informacje o absolwentach, będzie służył także pracodawcom i poprawie jakości kształcenia. Już teraz jest to miejsce spotkań profesjonalistów z określonych branż. Można się o tym przekonać, odwiedzając portal www.absolwent.up.wroc.pl.

Jednym z sukcesów projektu, jak wskazują jego twórcy, jest pozyskanie rekomendacji, które są wynikiem dyskusji w gronie przedstawicieli różnych uczelni, decydentów i pracodawców. Propozycje zmian już teraz są przedstawiane na radach wydziałów, wydziałowych radach biznesu oraz radach konsultacyjnych ds. szkolnictwa zawodowego przy kuratorium oświaty. Wśród nich najważniejsze stanowią: dążenie do ścisłej współpracy uczelni z pracodawcami, zapewnienie studentom możliwości odbywania praktyk w firmach dających szansę na praktyczne przygotowanie do zawodu, wprowadzanie do

programu nauczania projektów przygotowujących do pracy w zespole oraz przedmiotów z obszaru przedsiębiorczości, nowych technologii, ochrony własności intelektualnej. To wszystko ma przygotować absolwenta do założenia i prowadzenia własnej firmy, bo zdaniem pracodawców, działalność gospodarczą studenci powinni otwierać już podczas studiów.

– Nawet jeśli upadną, to i tak zdobędą cenne doświadczenie zawodowe. Odbierając dyplom ukończenia uczelni wyższej, będą wyposażeni w wiedzę, która pozwoli im na rozpoczęcie życia zawodowego w roli przedsiębiorcy – mówi dr MAGDALENA GAWRON, koordynator merytoryczny projektu. O pozytywnych zmianach w polskim systemie edukacji ma zatem świadczyć liczba nowo powstałych firm tworzonych przez absolwentów.

ROLNIK SZUKA (ŻONY) PRACY

Przedstawiając projekt, o jednym trzeba wiedzieć. Istotny, z punktu widzenia powodzenia przedsięwzięcia, jest

fakt, że portal związany jest z branżą powiązaną z profilem kształcenia uczelni. Według raportu „Szkolnictwo Wyższe w Polsce 2013” Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, studenci kończący studia na kierunkach związanych z naukami przyrodniczymi stanowią niecałe 2 proc. ogólnej liczby absolwentów. Ta stosunkowo niewielka grupa szukających pracy w zawodzie oraz ściśle zdefiniowana branża pracodawców daje duże szanse powodzenia projektu.

Portal przygotowany został tak, by spełnił oczekiwania studentów, absol-

wentów i przedstawicieli biznesu. Zarejestrowanym na portalu pracodawcom, oprócz możliwości zamieszczania ofert rynku pracy, udostępniona została baza poszukujących zatrudnienia studentów i absolwentów. Ponadto cyfrowa platforma, posiadająca cechy serwisu społecznościowego, umożliwiła bezpośredni kontakt. Twórcy portalu przygotowali pracodawcom jeszcze jeden bonus – ankiety.

– Zdaniem pracodawców, branżowa baza ofert staży, praktyk i wolontariatu jest narzędziem, które może pomóc w zdobywaniu cennego doświadczenia

oraz budowaniu ścieżki kariery. Pracodawcy w uwagach jako zaletę portalu wskazywali fakt, że możliwe jest poszukiwanie przyszłych pracowników w ramach ofert staży, praktyk i wolontariatu, a nie wyłącznie ofert pracy – wskazuje dr Gawron.

Dzięki portalowi, firmy zatrudniające absolwentów uczelni przyrodniczych zyskują narzędzie oceny swoich pracowników – ich kwalifikacji, poziomu wiedzy i umiejętności nabytych w czasie studiów. Każdy brak, niedociągnięcie mogą zostać zgłoszone uczelni, która wykształciła pracownika.

WYKSZTAŁCENIE: OPŁACALNA INWESTYCJA

Dane Głównego Urzędu Statystycznego za ostatni kwartał 2013 roku pokazują precyzyjnie: stopa bezrobocia jest odwrotnie proporcjonalna do poziomu wykształcenia. Dyplom uczelni się opłaca. I to dosłownie.

Polacy, którzy szukają pracy ze świadectwem ukończenia szkoły podstawowej lub gimnazjum, mają znacznie większe szanse zasilić 20-procentową grupę bezrobotnych. Wśród tych, którzy mają wykształcenie średnie, bezrobocie sięga 13 proc., a 9 – u absolwentów zawodówek i szkół policealnych. Jednocześnie średnie bezrobocie wśród osób z wyższym wykształceniem wynosi 6 proc. i jest nieco niższe od unijnej średniej (w 2008 roku „szliśmy” na rekord, bo odsetek bezrobotnych absolwentów wynosił u nas zaledwie

3,8 proc. i był najniższy od 10 lat – w 2004 roku, kiedy wstąpiliśmy do Unii Europejskiej, zajmowaliśmy 4. miejsce).

Fundacja Forum Obywatelskiego Rozwoju przygotowała nie tak dawno temu raport „Młodzi wykształceni, ale bezrobotni. Fakty i mity”, w którym porównano sytuację absolwentów uczelni w Polsce i pozostałych krajach wspólnoty.

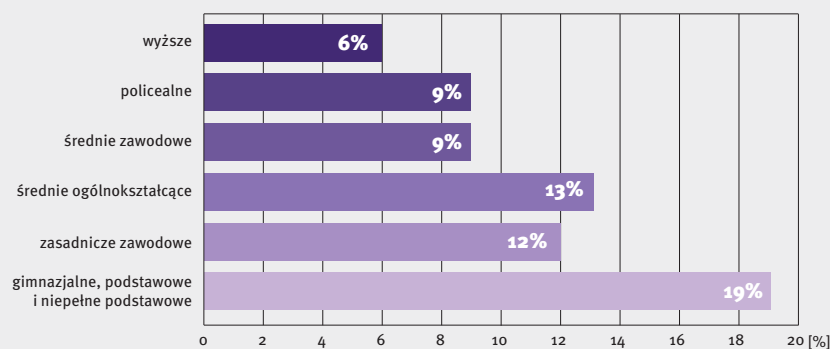
Zgodnie z tym raportem, odwołującym się zarówno do danych GUS, jak i Eurostatu, najlepsze warunki na rynku pracy dla osób z wyższym wykształceniem są w Niemczech, gdzie tylko 2,5 proc. absolwentów uczelni wyższych ma problem ze znalezieniem zatrudnienia. Zaraz za Niemcami najniższą w Unii stopę bezrobocia ma Malta (2,6 proc.), potem Czechy (2,8 proc.) i Austria (3,2 proc.).

Jak pisze prof. MARIA DROZDOWICZ-BIEĆ w raporcie FOR: „Osoby z wyższym wykształceniem lepiej od pozostałych radzą sobie na rynku pracy, nawet gdy dotknie ich bezrobocie.

Ponad połowa (54 proc.) bezrobotnych z wyższym wykształceniem znajduje pracę w ciągu pierwszego półrocza od momentu jej utracenia, blisko 34 proc. znajduje ją w ciągu pierwszych trzech miesięcy. Im niższe wykształcenie tym dłuższy okres poszukiwania pracy. Blisko połowa bezrobotnych bez wykształcenia poszukuje jej ponad rok”.

W ciągu ostatniego kwartału współczynnik scholaryzacji wzrósł w Polsce z 10 proc. w 1990 roku (a więc właściwie na początku transformacji ustrojowej) do ponad 40 w 2013 roku. To zaś oznacza szybki wzrost liczby wykwalifikowanych pracowników, co w polskich realiach łączy się ze wzrostem gospodarczym i wysokim tempem wzrostu nakładów inwestycyjnych. W raporcie opracowanym przez FOR kluczowe jest zdanie prof. Marii

Stopa bezrobocia w 2013 r. w Polsce według wykształcenia



Dane: GUS

READY, STEADY, GO!

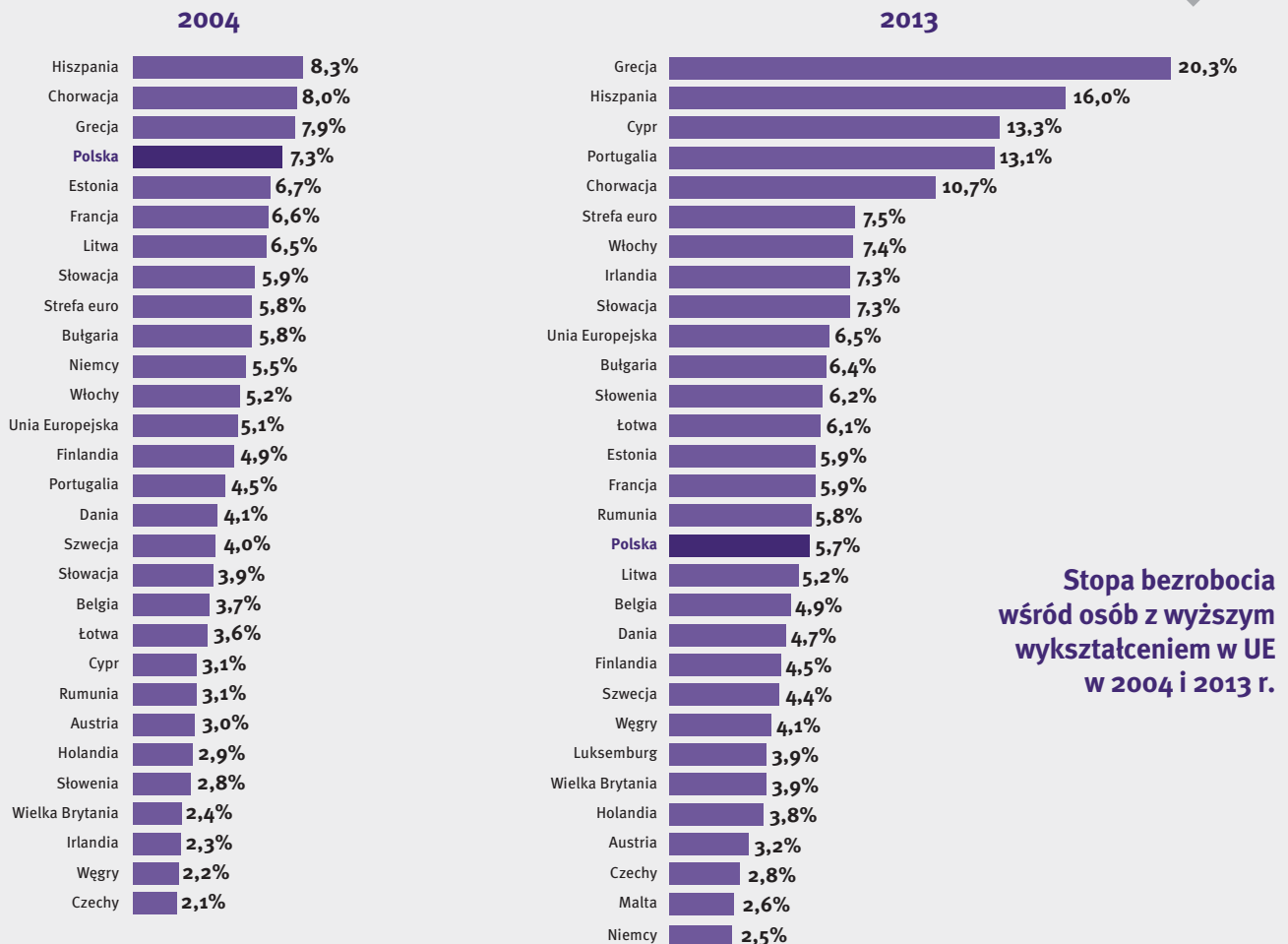
Mury istnieją po to, by w jednym miejscu zgromadzić ludzi, którzy nie pragną czegoś dostatecznie mocno. Dlatego na absolutoriach nie mówmy o tym, że absolwenci opuszczają mury uczelni. Szukajmy raczej analogii związanych ze ścisłą współpracą. Zainteresowanie uczelni losami absolwentów może pozytywnie wpłynąć na budowanie trwałych i owocnych relacji między *Alma Mater* i jej alumni. Amerykańskie uczelnie od lat zajmują najwyższe pozycje w światowych rankingach. O ich sukcesie decydują absolwenci. Trzy naj-

lepsze uniwersytety, Harvard, Yale i Columbia, są zarządzane wyłącznie przez byłych studentów. Bo o prestiż uczelni najlepiej dbają jej absolwenci.

Nowy portal, jak zapewniają jego twórcy, to nie tylko profesjonalne narzędzie badawcze, lecz także narzędzie pomocne w podtrzymywaniu kontaktu z absolwentami.

– Jak wskazują doświadczenia uczelni zagranicznych, relacja na linii uczelnia-absolwent jest kluczowa dla gospodarki opartej na wiedzy – podkreśla dr Magdalena Gawron. – Absolwenci, którzy odgrywają ważne role w świecie kultury,

nauki oraz polityki, mogą stanowić wspaniałą wizytówkę uczelni, świadcząc o jej poziomie i jakości kształcenia. W obecnej sytuacji rynkowej niezwykle ważny staje się również potencjalny wkład finansowy absolwentów w rozwój uczelni. Wywodzący się z tego grona przedsiębiorcy mogą stanowić swoiste lobby działające na rzecz uczelni i wspierające jej przedsięwzięcia – dodaje koordynator merytoryczny projektu „PI – Monitoring losów absolwentów w kontekście dostosowania oferty edukacyjnej do potrzeb gospodarki opartej na wiedzy i wymogów rynku pracy”.



Stopa bezrobocia wśród osób z wyższym wykształceniem w UE w 2004 i 2013 r.

Dane: Eurostat

Drozdowicz-Bieć, pokazujące *clou* zależności pomiędzy wykształceniem a stopą inwestycji: „Potencjał w postaci względnie dużego odsetka ludzi młodych i wykształconych już mamy, trzeba go teraz mądrze wykorzystać. Jedyń sposób na

trwały spadek bezrobocia wśród absolwentów wyższych uczelni to wyższa stopa inwestycji sektora prywatnego, w tym zwłaszcza inwestycji w zaawansowane technologicznie sektory gospodarki”.

Dwie strony dydaktyki, czyli jak ściąągają studenci i...

KTO JEST NAJWIĘKSZĄ KOSĄ

Po najbardziej emocjonującym okresie w życiu uczelni, kiedy trudy, walka i najmniejsze nawet sukcesy ciągle jeszcze są świeże w pamięci, zapytaliśmy prowadzących i egzaminujących o to, jak ściąągają (lub próbują) studenci, a egzaminowanych i zdających (lub nie) – kto jest największą kosą i spędza im sen z powiek nie tylko przed sesją.

Na uczelnianym profilu na Facebooku umieściliśmy skromną, lekko żartobliwą prośbę:

„Szukamy największej kosa na uczelni, wykładowców znanych z żelaznych zasad i braku litości, tytanów pracy nie tylko swojej, organizatorów waszego czasu wolnego i piątkowych wieczorów, bohaterów przedsesyjnych snów, pogromców maślanych oczu i finezyjnych żartów, najbardziej wymagającego psora, belfra, brzytwy, killera – i jakkolwiek

jeszcze ich nazywacie. Wpisujcie nazwiska kandydatów do tytułu największej kosa”.

Odzew przeszedł nasze najśmielsze oczekiwania – w akcji wzięło udział 1140 osób, padło ponad 50 propozycji, niemal pod każdą rozgorzała dyskusja. Bo przecież przedmiot przedmiotowi nierówny, a kierunków mamy sporo, jedni dłużej walczyli na drugim roku, inni na czwartym, ktoś pamięta trzy poprawki, ktoś

zarwane noce, a jeszcze inni przyznają, że przede wszystkim, to trzeba się zmierzyć z legendami krążącymi po wydziałach. Nie zabrakło też absolwentów, którzy po latach przyznali, że to właśnie tak zwane kosa wspomina się najlepiej.

Żeby nie być jednak jednostronnym narratorem tej historii, spotykając profesorów i doktorów, dydaktyków z doświadczeniem, prowadzących zajęcia i egzaminujących nie od wczoraj, zaga-



Prof. Barbara „KOSA” Kosowska – tytuł przyznany jej przez studentów przyjęta z humorem, podkreślając, że wymaga jednego: myślenia

dywaliśmy o metodologię współczesnego ściągania. Jak się okazuje – nowe technologie i w tym aspekcie zrewolucjonizowały życie studenta.

A SŁUCH MAM DOBRY

– Telefony komórkowe to już norma. Ale spotkałem się również ze słuchawkami. Nie wiem co prawda, w jaki sposób pytanie zostało wysłane na zewnątrz, pewnie SMS-em, ale krążyć po sali i słyszę jakiś szum, a że słuch mam jeszcze w miarę dobry, to myślę – coś tu jest nie tak. Chodzę, słucham, poszukuję. W końcu stanąłem koło jednej pani i słyszę szum głoścniacza. Pani opuściła salę, a ja po chwili słyszę – dalej coś szumi! No to szukam od nowa... – opowiada prof. HENRYK BUJAK z Katedry Genetyki, Hodowli Roślin i Nasiennictwa Wydziału Przyrodniczo-Technologicznego i wspomina jeszcze jeden przypadek: – Jakiś czas temu złapano na ściąganiu chłopa. Ale bez ściąg, z zegar-

kiem! Są teraz smartwatche, w których można pisać, zapamiętywać pliki, ponoć nawet skanować. Także studenci się nieustannie rozwijają.

Bo o ile przy zdobyczach współczesności w służbie studenckiej pomysłowości trzeba się wykazać dobrym słuchem

i spostrzegawczością, o tyle w przypadku metod tradycyjnych – wszystko widać jak na dłoni, od razu. – Studentom się tylko wydaje, że oni to tak sprytnie robią. Zresztą ja za studenta też tak myślałem. A jak tylko stanąłem po drugiej stronie, to aż mi się śmiać chciało, jak to pięknie wszystko widać. Jedni się nieustannie rozglądają, inni pół godziny nic nie piszą i nagle dostają natchnienia, coś ich olśniło, jeszcze inni robią się nerwowi, wpadają w popłoch, jak tylko się zbliżam, próbując coś ukryć, pochować. To są emocje! – dodaje rozbawiony prof. Bujak.

Natomiast dr hab. HANNA MARSZAŁEK z Instytutu Budownictwa Wydziału Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji opowiada: – Miałam kiedyś taki duży szklany wazon, do którego wrzucałam wszystkie ściągi, różne modele. Oczywiście, że to widać od razu, chociażby wzrok skierowany w inne miejsce. No, może są mistrzowie, ale jak ktoś jest mistrzem, to trzeba to poniekać docenić.

BURZA NA FACEBOOKU

Po tygodniu burzy i emocjonujących zmianach lidera na Facebooku wybraliśmy ośmiu faworytów z największą, czyli przekraczającą 100, liczbą „lajków”, komentarzy i wszelkich innych znaków poparcia, po czym rozpoczęliśmy głosowanie.

Blisko jedną czwartą wszystkich oddanych głosów wygrała prof. BARBARA „KOSA” KOSOWSKA z Katedry Genetyki Wydziału Biologii i Hodowli Zwierząt. Miejsca na podium zajęli również

PLAGIAT, CZYLI CO?

Zgodnie z definicją z „Encyklopedii prawnej” (dostępnej na portalu gazetaprawna.pl, a opracowanej przez Adama Makosza) to kradzież własności intelektualnej, nazywana też często piractwem literackim, naukowym lub artystycznym. Plagiat to nie tylko przepisanie cudzej pracy dyplomowej i przedstawienie jej pod własnym nazwiskiem. Jest nim każdorazowe skopiowanie cudzego dzieła lub jego części i przypisanie sobie jego autorstwa. Oprócz tekstu łupem plagiatorów pada grafika, fotografie, a nawet całe witryny internetowe. Plagiat to obecnie najczęściej efekt nieświadomych działań młodych internautów. Nie stanowi plagiatu wykorzystanie bez wskazania autora aktów normatywnych lub ich urzędowych projektów, urzędowych dokumentów, opublikowanych opisów patentowych lub ochronnych i prostych informacji prasowych.

Za plagiat grozi odpowiedzialność karna – kodeks przewiduje grzywnę, karę ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 3, oraz cywilna – tutaj w grę wchodzi zaniechanie naruszenia, wydanie uzyskanych korzyści, zapłacenie podwójnej – a w przypadku gdy naruszenie było zawinione – potrójnej wysokości stosownego wynagrodzenia, oraz wpłata na Fundusz Promocji Twórczości.

prof. MACIEJ UGORSKI (Katedra Biochemii, Farmakologii i Toksykologii Wydziału Medycyny Weterynaryjnej) i dr ELŻBIETA JAGIEŁŁO (Instytut Inżynierii Środowiska na Wydziale Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji).

Zwycięzcy zapytana, czy jest zaskoczona wynikiem, odpowiedziała: – Wiem, że jestem wymagająca, tego mnie nauczył mój mistrz – że musimy dawać wiedzę i uczyć wykorzystywać ją w praktyce. To jest moja *idée fixe*.

Mistrzem był oczywiście założyciel Katedry Genetyki i jej najdłużej, bo ponad 40 lat, urzędujący kierownik – prof. BOLESŁAW NOWICKI. – Zaczynałam od młodszego asystenta i wykonywałam wtedy takie czynności, jak mycie popielniczek na przykład. Uczyłam się od podstaw – śmieje się prof. Kosowska, dodając: – Potem dostąpiłam zaszczytu bycia asystentem i przez 30 lat chodziłam z profesorem na wykłady. To mnie ukształtowało na całe życie. Zresztą całe pokolenie, które się przy nim wychowywało, czyli wszyscy profesorowie naszej katedry, mają wdrukowane jak imprint genomowy, że dydaktyka jest święta, że my jesteśmy wzorcami, nie można niczego odpuścić. Tego się nie dyskutuje, to jest aksjomat.

WYMAGANIE? MYŚLENIE!

O swoich własnych metodach nauczania mówi natomiast: – Ja od studentów wymagam przede wszystkim myślenia, uczyć ich wykorzystywać swoją inteligencję, kojarzyć fakty. Chcę, żeby zadawali pytania, drażyli, byli ciekawi. Ja już nie prowadzę wykładów, mam seminaria – chodzę między studentami, bez przerwy ich o coś pytam, nie rozumiesz czegoś – powiedz. Oni się oczywiście bronią do upadłego, jakby ich ta wiedza miała zaraz zabić. Ale jak już zaczną mówić, to okazuje się, że wszystkie dzieci rodzą się inteligentne, tylko niektóre idą potem do nieodrobnej szkoły.

Pani profesor ma cięty język i olbrzymie poczucie humoru. – Super jest żartobliwie rozmawiać ze studentami. Staram się, żeby się nie obrazili za moje docinki, tylko żeby się otworzyli – wyjaśnia prof. Barbara Kosowska, a wra-

CO TY WIESZ O ŚCIĄGANIU?

Według badań CBOS tylko **28%** Polaków potępia ściąganie, a aż **58%** z nas właściwie nie ma nic przeciwko takiemu „wspomaganiu” na egzaminach. Kilka lat temu w Łodzi przeprowadzono badania wśród uczniów szkół średnich, które powinny dać do myślenia nie tylko nauczycielom: **86–95%** nastolatków przyznało, że ściąga, a tylko **16%** uważało, że jest to złe.

Zdecydowanie inny stosunek do tego, jakby na to nie patrzeć – oszustwa, panuje w krajach anglosaskich, gdzie nawet język precyzyjnie nazywa rzecz po imieniu. Na ściąganie używa się bowiem określenia *cheating*, czyli oszukiwanie. Co oczywiście nie znaczy, że wszyscy brytyjczy i amerykańscy uczniowie i studenci są czystszy jak łąka. Według badań przeprowadzonych przez Center for Academic Integrity **70%** amerykańskich studentów przyznaje się do ściągania w czasie egzaminów. Warto jednak wiedzieć, że jednocześnie nie ma zgody na tuszowanie ujawnionych przypadków, a ci, którzy informują, kto ściąga, nie są traktowani jako donosiciele, ale jako osoby dbające o uczciwość egzaminu, a więc i uczciwą konkurencję.

Dodać trzeba, że w Polsce coraz ostrzej traktuje się plagiaty, a ujawniane przypadki dotyczące np. pracowników naukowych uznaje się za poważne naruszenie etyki zawodowej (niezależnie od odpowiedzialności karnej, choć warto przypomnieć, że odpowiedzialność cywilna z tytułu popełnienia plagiatu zgodnie z art. 118 KC ulega przedawnieniu po okresie 10 lat. Natomiast karalność plagiatu ściągane z oskarżenia publicznego ustaje po 5 latach).

cając do wymagań wspomina: – Ode mnie też wymagano na studiach i jestem za to wdzięczna. Profesor Nowicki oblał mnie na pierwszym terminie i jeszcze dodał „Dziecko, daję ci dwóję, żebyś nie myślała, że coś umiesz”. Tak się zawstydziałam, że na każdym następnym egzaminie dostawałam już piątkę. I ja też nie mogę dawać ocen za nic, przecież ktoś mi płaci za to ciężkie pieniądze, ktoś mi zaufał, więc to jest mój etyczno-moralny obowiązek, żeby tę wiedzę egzekwować. Poza tym – tak mnie profesor nauczył, tak będzie i koniec – dodaje pół żartem, pół serio.

I chociaż studentów przed egzaminem u prof. Kosowskiej oblewa zimny pot („Jeśli ktoś się nie bał Kosowskiej, to nie wie, co to prawdziwy strach”), doceniają wiedzę, zaangażowanie i wymagania właśnie. Zwłaszcza po latach: „Zasłużony tytuł”, „Na egzamin z genetyki uczyłam się jak na żaden inny”, „Najlepszy wykładowca”, „Z perspektywy czasu przyznam, że to bardzo w życiu pomogło – własne myślenie”, „Wykłady były obłędne – prowadzone żartobliwie, ale to, co trzeba było przekazać, zostało przekazane”.

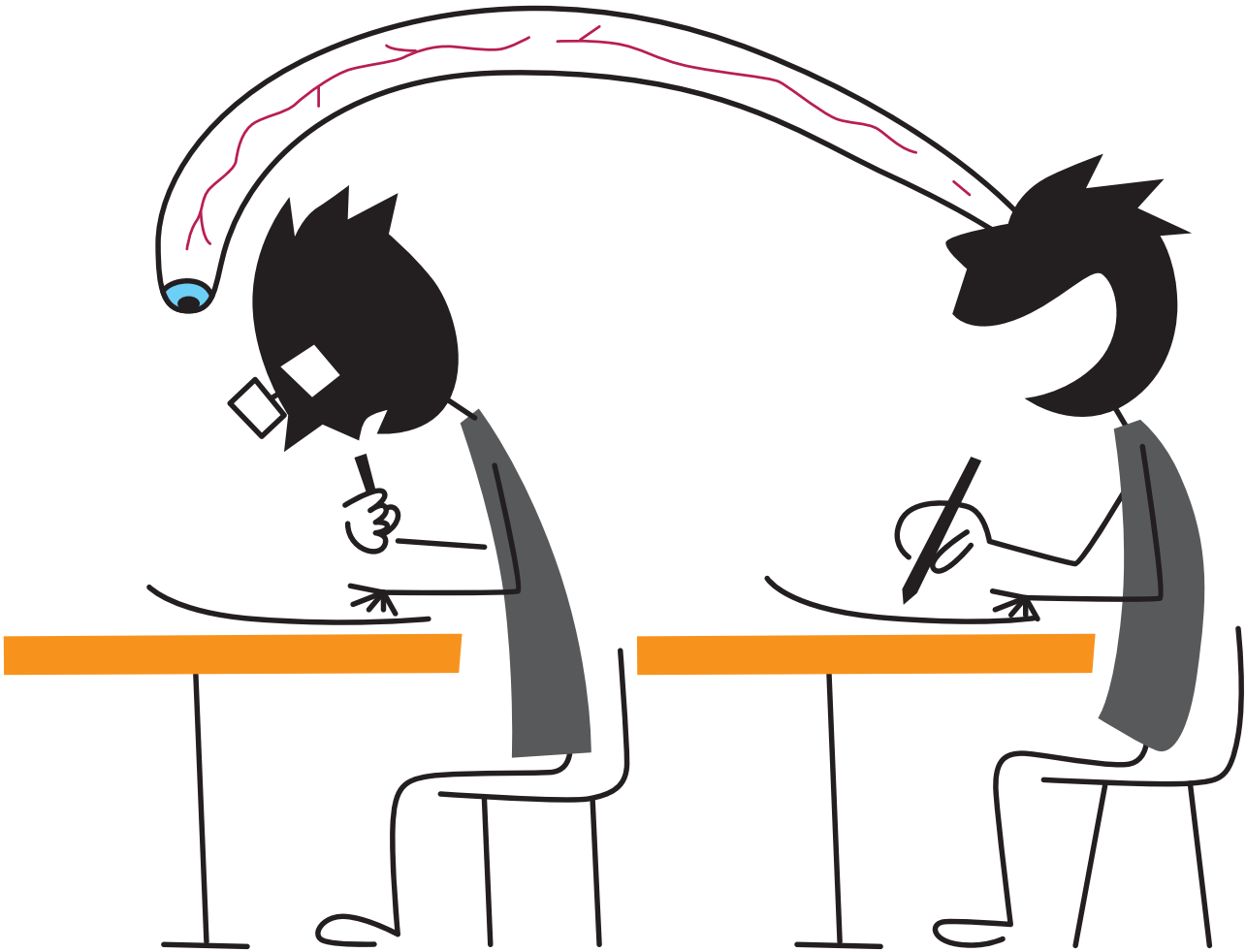
ŚCIĄGA, CZYLI SYNTEZA

A co o ściąganiu sądzi Pierwsza Kosa Uniwersytetu? – Ściągać próbują nie-

ustannie. Raz na weterynarii wyrzuciłam jednego bardzo przystojnego studenta, a on mi potem powiedział, że jest księdzem i wcale nie ściągał... Od tego czasu jestem trochę ostrożniejsza, raczej nie wyrzucam tak od razu. Bo co prawda ściągi robią prawie wszyscy, ale to akurat dobrze, bo lepiej się z nimi czuję. Wiedzą, że jak się gdzieś zatną, za braknie im jednego słowa, to mają się gdzie ratować. Ja przecież też robiłam ściągi na studiach, to pomaga dokonać syntezy, utrwala materiał. I staram się im trochę pomagać, podpowiedzieć to jedno słowo, po którym już jakoś pójdzie – opowiada prof. Barbara Kosowska i okazuje się, że nie taka kosa straszna, jak ją malują.

A co do tradycyjnych ściąg, to wszyscy wykładowcy są akurat zgodni – rozbicie „harmonijek” pomaga w nauce, wymaga skondensowania materiału, zapoznania się z nim. I nie dyskwalifikuje studenta, przynajmniej nie tak od razu i nie samo posiadanie.

– Jeśli ktoś sam sobie przygotował jakąś ściągę, to nie jest tak złe. Mogę podejrzewać, że czegoś się przy tej pracy nauczył. Ze swoich studenckich czasów pamiętam, że każdy pisał ściągę i trzymał ją w kieszeni. To też jest forma nauki. Natomiast był taki moment, że studenci kserowali ściągę i tego już nie



PROGRAMEM W KRADZIEŻ

Polskie uczelnie wyższe publiczne i niepubliczne, w sumie 176, m.in. Uniwersytety Ekonomiczne w Krakowie, Poznaniu i Wrocławiu, Szkoła Główna Handlowa w Warszawie, Uniwersytet Warszawski, Warszawski Uniwersytet Medyczny, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, Uczelnia Łazarskiego w Warszawie, Collegium Civitas oraz Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej zdecydowały się rozpocząć współpracę z Internetowym Systemem Antyplagiatowym.

Serwis Plagiat.pl powstał w czerwcu 2002 roku. Od początku wspiera wykładowców uniwersyteckich zmagających się z plagą nieuprawnionych zapożyczeń w pracach studentów, ale też i samych studentów – którzy dzięki niemu mają możliwość samodzielnego sprawdzenia pracy pod kątem oryginalności.

Pierwszą polską uczelnią, która zaczęła stosować program antyplagiatowy do sprawdzania prac, był Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

tolerowałem – przyznaje prof. Henryk Bujak.

Zgadza się z nim dr Marszałek: – Kserowane ściągki są najgłupsze. I to momentalnie widać, że ktoś ich nie zrobił sam. Wyteżę wzrok, usilnie próbuje przeczytać, co tam ma na tej ściągce, a to jest pisane jakąś miniaturą czcionką, piątką czy szóstką, więc wcale nie jest łatwo odczytać, jak się nie wie,

co na niej jest. To się po prostu nie może udać, nie ma szans.

WZÓR NA POLICZKU

Ale że każdy prowadzący był kiedyś studentem, to i jemu zdarzały się wpadki.

– Ja robiłam zazwyczaj duże ściągki, bo jestem wzrokowcem, uczyłam się w ten sposób, potem nawet nie musiałam

z nich korzystać. Ale kiedyś napisałam sobie wzór na ręce, a że było okropnie gorąco, oparłam się na tej spoconej dłoni, prowadzący spojrzął na mnie i skwitował: „Dosyć trudno będzie pani przeczytać tę ściągę z policzka” – swoje egzaminacyjne przygody wspomina prof. BARBARA KWIATKOWSKA z Zakładu Antropologii Wydziału Biologii i Hodowli Zwierząt. •

Będą studia podyplomowe z gerontologii?

STAROŚĆ MOŻE BYĆ PIĘKNA

Społeczeństwa krajów rozwiniętych są coraz starsze, przybywa ludzi w podeszłym wieku, ale nie zmienia się ciągle negatywny wizerunek starości. O tym, jak studia mogą odpowiedzieć na zmiany zachodzące w społeczeństwie i jak mądrze przygotować się do starości, opowiada prof. BARBARA KWIATKOWSKA z Zakładu Antropologii Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego (GUS) liczba osób po 80. roku życia w Polsce sukcesywnie wzrasta. Dlatego antropolodzy z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu złożyli wniosek o utworzenie nowego kierunku studiów podyplomowych – Gerontologia i opieka nad osobami starszymi, a także zaproponują specjalność związaną ze starzeniem się na drugim stopniu studiów na kierunku Biologia człowieka.

– Studenci, słysząc o tym pomysle, sądzą, że po tego typu studiach będą tylko mogli opiekować się starszami. To błąd. My chcemy kształcić ludzi, którzy posiadając dużą wiedzę o fizjologii człowieka, zmianach zachodzących w czasie życia, również psychicznych, ułatwią lu-

dziom starszym odnalezienie się w społeczeństwie, sprawią, że nie będą czuli się wyrzuceni poza jego margines, wyobcowani – tłumaczy prof. Barbara Kwiatkowska.

Szacunki GUS mówią, że do 2030 roku liczba osiemdziesięciolatków w naszym kraju wzrośnie z obecnych 1,5 mln do około 2,2 mln. Demografowie twierdzą, że tego trendu nie da się zatrzymać. Ważę problemu zwiększa prognozowany coraz niższy wskaźnik dzietności.

– Społeczeństwa europejskie starzeją się, ludzi w podeszłym wieku będzie przybywać coraz szybciej. To jest problem, który w tym momencie nie ma rozwiązania, w całej Europie będzie się tylko pogłębiał – potwierdza prof. Kwiatkow-

ska i dodaje: – Coraz później decydujemy się na dzieci, społecznie przedłużamy sobie młodość, coraz później wchodząc w dorosłość i zakładając rodziny, przyrost naturalny jest ujemny. W starzejącym się społeczeństwie jest zapotrzebowanie na menedżerów, którzy będą oswajać społeczeństwo ze zmianami wynikającymi z procesów starzenia, a także zajmą się działalnością kulturalno-oświatową nakierowaną na seniorów i ich potrzeby – wyjaśnia prof. Kwiatkowska.

ZAWÓD OCZEKIWANY CZY CHCIANY?

Zeszlóroczny raport Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej wskazuje, że opiekun osób starszych zajmuje 4. miejsce

na liście najbardziej deficytowych zawodów w kraju. – U nas nie istnieje kwestia organizacji życia ludzi starszych – zaznacza prof. Kwiatkowska. – Pokułtuje negatywne nastawienie do starości nawet wśród ludzi, którzy już się starzeją. A o starości nie można myśleć w kategoriach żalu za przeżytym życiem. Nie można utożsamiać jej z babcią drepczącą do kościoła. Raczej z osobą z bogactwem doświadczeń, z których można czerpać. Ludzie starzy muszą być i czuć się potrzebni, bo każdy z nas musi się zestarzeć. Jak mawiał Jan Czekanowski, mistrz antropologii, na starość jest tylko jedno skuteczne lekarstwo – umrzeć młodo.

JAKOŚĆ STAROŚCI

Problem starzenia się społeczeństw staje się obiektem zainteresowania coraz szerszego grona naukowców. Interdyscyplinarna konferencja „Socjologia medycyny – promocja zdrowia – starzenie”, którą w połowie marca zorganizowano na Wydziale Biologii i Hodowli Zwierząt w Zakładzie Antropologii, wspólnie z Zakładem Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Medycznego, potwierdziła wagę tematu. – Zainteresowanie było bardzo duże, dyskusje i oficjalne, i w kularach toczyły się z perspektywy wielu punktów widzenia. Nam, jako organizatorom, zależało najbardziej na tym, by poza rozważaniami na temat starości skupić się też na promocji zdrowia. Bo jakość starości zależy od tego, jak wcześnie zrozumiemy, że każdy indywidualnie pracuje na nią przez całe życie – podsumowuje antropolog z Uniwersytetu Przyrodniczego.

Wśród poruszanych zagadnień pojawiały się m.in. związane z problemem chorób wieku podeszłego, zależności między zdrowiem a płcią, zdrowiem a religijnością, problemy socjologiczno-społeczne i seksualność, biblioterapia, współczesny przekaz medialny dla seniorów i zagospodarowanie przestrzeni osiedlowych w dobie starzejącego się społeczeństwa.

BIOLOGIA LEPSZA DLA KOBIEC

– Charakterystyczna dla Polski jest duża różnica między średnią długością życia mężczyzn i kobiet. W tej chwili jest to niecałe 9 lat, do niedawna było prawie 10,

więc różnica powoli się zmniejsza, co jest zjawiskiem pozytywnym. Najmniejsza jest u osób z wyższym wykształceniem, co wynika z większej świadomości, dbałości o zdrowie i swoje środowisko życia – mówi prof. Kwiatkowska. I dodaje, że mężczyźni poniekąd sami są sobie winni: – Mniej dbają o zdrowie. Są też mniej odporni na stres, a bardziej podatni na niekorzystne warunki środowiska, w którym żyją. Średnia długość życia kobiet zaczęła się zwiększać od XVIII wieku, kiedy powstały pierwsze izby porodowe, a kobiety w ciąży i rodzące znalazły się pod fachową opieką. Poza tym biologia od samego początku faworyzuje kobiety – wewnętrzne środowisko matczyne jest bardziej sprzyjające dla płodów żeńskich. Gdyby to mężczyźni rodzili mężczyzn, szanse najpewniej byłyby wyrównane...

Młodzi ludzie już dziś powinni pomyśleć o tym, jak będzie wyglądało ich życie za kilkadziesiąt lat. – Nikt nie chce być na starość ciężarem dla bliskich. Ale to od nas zależy, jaka będzie nasza starość. Musimy na nią pracować – dbać o zdrowie, nie pić, nie palić, a uprawiać jakąś aktywność fizyczną. Od czasu do czasu robimy w ramach ćwiczeń z antropomotoryki testy sprawnościowe dla naszych studentów. Wielkim wyzwaniem jest już samo namówienie ich do biegania, skakania, jakiegokolwiek ruchu. Szybko się



Prof. Barbara Kwiatkowska ma nadzieję, że studia podyplomowe z gerontologii okażą się strzałem w dziesiątkę

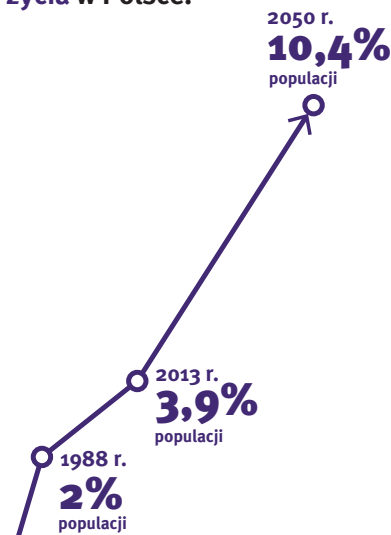
mężczą, są słabi. Trudno się zatem dziwić, skoro coraz więcej dzieci i młodzieży ma wady postawy, że ludzie boją się starości i zniedołężnienia – ocenia prof. Barbara Kwiatkowska.

TRZEBA MIEĆ PLANY

A już z prywatnej perspektywy dodaje: – Starość może być piękna. Mnie jeszcze odrobinę brakuje, ale staram się pracować na dobrą starość. Jestem bardzo aktywna zawodowo, chodzę po górach, jeżdżę na rowerze, wyjeżdżam ze studentami w teren na wykopaliska. A na przyszłej emeryturze widzę dla siebie mnóstwo możliwości: wnuczka, ogród, pies, kot, zainteresowania, które wreszcie będę miała czas rozwijać, książki, które będę miała czas przeczytać, zdjęcia rodzinne, które w końcu uporządkuję. Mam mnóstwo planów i myślę, że jak człowiek ma takie nastawienie, to starość może być kolejnym pięknym okresem w życiu. Mój brat, obecnie 51-letni, od wielu lat biega w maratonach i powtarza, że wygrywają, nie licząc zawodowych biegaczy, ludzie około 70. roku życia. Taką sprawność i wytrzymałość wypracowuje się przez lata. Może i jest to szczególny przypadek, ale również dowód na to, że sprawną starość można sobie wypracować.

I na koniec zaznacza tylko: – Proszę nie pisać o smutnych rzeczach, proszę napisać, że starość może być piękna, że może być cudownie – trzeba tylko zdrowia i pozytywnego myślenia. •

Odsetek osób powyżej 80. roku życia w Polsce:



Profesor **Marek Wojciech Lorenc** przypadkiem tłumaczy wiele zdarzeń w swoim zawodowym życiu, ale...

...NIC NIE DZIEJE SIĘ PRZYPADKIEM

Naukowiec z legitymacją dziennikarską, towarzyski samotnik, artysta fotografik i zawodowy kierowca, geolog i górnik. Z jednej strony zbywa pytanie o to, czym dla niego jest przestrzeń: – To po prostu miejsca, w których byłem. Pustynie, stepy, dżungle, miasta. Nie ma w tym żadnej filozofii, jestem przyrodnikiem i lubię chodzić po ziemi. Nie pasuje mi nurkowanie na rafie, a latam tylko wtedy, gdy nie mogę gdzieś dotrzeć w inny sposób.

Z drugiej strony już na początku swojej książki Marek Lorenc wyznacza nieprzyjemną perspektywę:

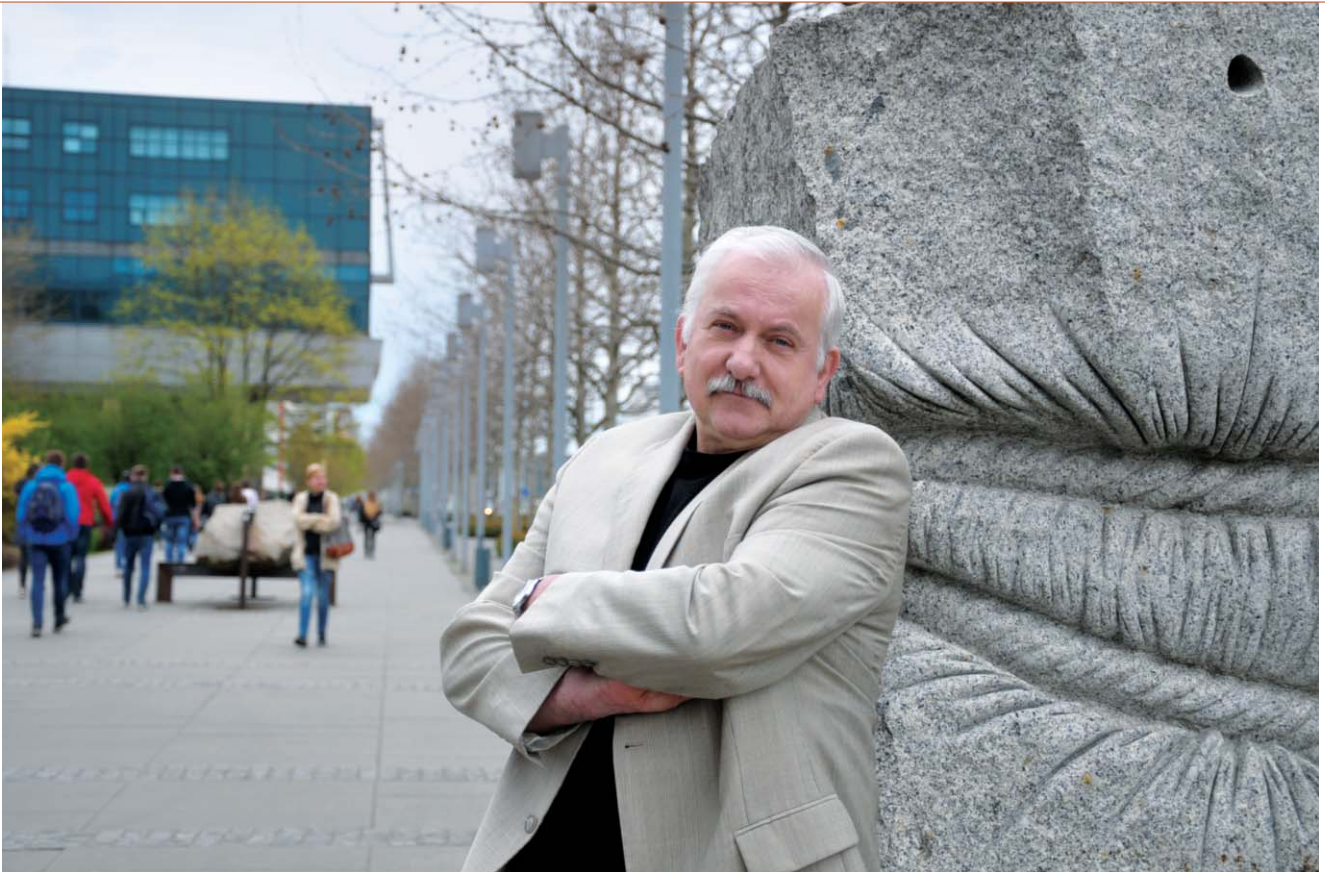
„4,5 miliarda lat zapisane jest w skałach, skały i ich kawałki – kamienie – towarzyszą ludziom od zawsze, no i kamienie potrafią śpiewać. Te procesy, które działały 4,5 miliarda lat temu, działają nadal, więc człowiek musi je zrozumieć, by mądrze wykorzystać”.

Książka *Wykorzystać kamień*, którą wydał wspólnie ze **SŁAWOMIREM MAZURKIEM**, kolegą zajmującym się projektowaniem elewacji, to przykład dobrego łączenia wiedzy uczonego i doświadczenia praktyka. Profesor Lorenc napisał ją, szukając pomysłu na swoje nowe zawodowe wcielenie.

Od czasu ukończenia studiów, czyli od 1974 roku, pracował w PAN, zajmo-

wał się geologią, a ściślej petrologią. Kiedy w 2002 roku został zatrudniony w Instytucie Budownictwa i Architektury Krajobrazu Uniwersytetu Przyrodniczego, musiał na nowo określić swoje zawodowe priorytety. Dla architekta krajobrazu, nie jest ważne, skąd kamień pochodzi, ale jak go wykorzystać.

Książką i wykładem *Kamień w architekturze* wszedł w środowisko architek-



tów. Lektura polecana tym, którzy projektują i budują, okazuje się interesująca także dla laików – jest jedno wytłumaczenie: pasja autora.

W gabinecie Marka Lorenca kamienie leżą wszędzie: na biurku, na regale, na stole, przy którym rozmawia z gośćmi. W rodzinie żartują, że on od dziecka chciał być geologiem, i wspominają uparte zbieranie kamyków na plaży podczas wakacji. – Są takie śliczne, jakoś nie mogę się z nimi rozstać – tłumaczy profesor obecność tylu kamieni w swoim gabinecie. – Niektóre z nich służą do celów dydaktycznych – dodaje pospiesznie.

MISTRZ I JEGO UCZNIOWIE

W uniwersyteckim gabinecie Marka Lorenca poza kamieniami rzuca się w oczy regał z równo ustawionymi pracami licencjackimi, magisterskimi i doktorskimi. Profesor bezbłędnie sięga po poszczególne tomy i opowiada o ich wartości.

– Wyrzebujemy kamień z ziemi i pozostaje wielka dziura – pokazuje pracę o zagospodarowaniu kamieniołomów – i już snuje opowieść o tym, jak wykorzystano wyrobiska na Górze Świętej Anny, a jak w Kielcach. Gdzie

MARKA LORENCA BIOGRAM W LICZBACH

Postępujący się **3** językami autor **1** książki, **5** monografii, **12** rozdziałów w monografiach, **69** oryginalnych opracowań naukowych, **114** popularnonaukowych, **13** popularnych, **63** doniesień konferencyjnych, **182** wygłoszonych referatów, **25** posterów, **37** komunikatów, **44** recenzji wydawniczych, **26** opracowań specjalnych i **kilkudziesięciu** nieopublikowanych materiałów archiwalnych oraz **9** odcinków przyrodniczego programu telewizyjnego. Promotor **3** doktorów (**2** doktoraty – w tym **1** międzynarodowy – na ukończeniu), **62** magistrów (**13** prac magisterskich w trakcie realizacji), **21** inżynierów oraz **57** licencjatów.
Członek założyciel **3** krajowych i międzynarodowych towarzystw naukowych. Organizator **18** wystaw fotograficznych, autor **9** z nich.

sprawdzą się amfiteatry, a gdzie lepiej kąpieliska. – Geoturystyka to szansa dla tych pokopalnianych terenów. A moja doktorantka zajmuje się problemem re-kulturywacji na dobrym europejskim poziomie. I tak profesor sięga po kolejne prace: kamienne nagrobki w nekropoliach różnych religii... i znów opowieść. W tych opowieściach o magistrantach i doktorantach wyraźnie słychać radość i autentyczną sympatię dla swoich wychowanków.

– Profesor Lorenc? To najlepsze, co mnie na tych studiach spotkało – komentuje była studentka geologa-górnika.

PRZYPADKI I OCZYWISTOŚCI

Kolejne etapy naukowej kariery Marek Lorenc chętnie tłumaczy przypadkiem. No może z wyjątkiem tego, że będzie naukowcem. Dla syna dwojga nauczycieli akademickich było oczywiste, że praca zawodowa polega na czytaniu – pisanu – czytaniu – pisanu – czytaniu...

Ojciec, Władysław Lorenc, pracownik naukowy lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej, w 1945 roku przyjechał z rodziną do Wrocławia, a rok później, podczas pierwszej po wojnie promocji, otrzymał stopień doktora na Wydziale Przyrodniczym Uniwersytetu. Był jednym z twórców wrocławskiej

AMIGO Y MAESTRO

weterynarii. Zmarł nagle w 1957 roku, kiedy Marek miał siedem lat. Mama, Joanna Lorenc, biolog, pracowała w Instytucie Zoologii Uniwersytetu Wrocławskiego od pierwszych dni jego powstania aż do przejścia na emeryturę w roku 1974 (zmarła również nagle 14 lat później). Pani doktor, pracująca na co dzień ze studentami, nie zamartwiała się, gdy syn za pierwszym razem nie dostał się na studia: – Spróbujesz za rok, a teraz idź do pracy. Marek Lorenc, nieprzyjęty na studia z powodu nabazgranej i nieczytelnej pracy egzaminacyjnej, skończył kurs dla kierowców i zrobił zawodowe prawo jazdy. Fizycznie pracował w Instytucie Geologicznym. I tu noszącego skrzynki chłopaka zobaczył dr Stanisław Maciejewski, który nie tylko mówił mu, co i gdzie zanieść, ale tłumaczył, czym są kamienie, które przynosi, skąd pochodzą, jak je badają. – Tak przypadkiem ukształtowały się moje zainteresowania geologiczne na wiele kolejnych lat – wspomina dziś prof. Lorenc.

Kilka lat później, podczas stażu w Hiszpanii, przypadkiem spotyka ludzi poszukujących geologa, który podjąłby się opracowania mapy geologicznej pewnego rejonu Argentyny. Marek Lorenc uznał, że takie porównawcze badania przydadzą się przy przygotowywanej wówczas habilitacji. – Dostałem stypendium, dwóch studentów do pomocy i przeżyłem mnóstwo przygód – wspomina ten czas z nieukrywającym sentymentem.

Kiedy magister geologii, doktor nauk przyrodniczych, doktor habilitowany nauk o Ziemi w zakresie geologii, trafił na Uniwersytet Przyrodniczy, temat profesury wydawał się problemem. I znów pomógł mu przypadek: spotkał ludzi zajmujących się podziemiami, kopalniami, kryptami, lochami. Wprowadziła go w to środowisko Elżbieta Szumska, właścicielka kopalni w Złotym Stoku. Razem działali w Europejskiej Sieci Dziedzictwa Górniczego „Europamines”. – No i w ten sposób, przypadkiem, jestem górnikiem – śmieje się Marek Lorenc, profesor nauk technicznych w dyscyplinie górnictwo i geologia inżynierska.

A JEŚLI TO NIE PRZYPADK?

Profesor Marek Lorenc, jak twierdzi, najlepiej czuje się w pustych otwartych przestrzeniach. – Albo w górach, albo



Profesor Marek Lorenc z Instytutu Budownictwa i Architektury Krajobrazu został Honorowym Członkiem Colectivo Proyecto Arrayanes.

Jest to stowarzyszenie kulturalne założone w 1998 r. w Linares w Hiszpanii. Tworzą je byli pracownicy górnictwa, które historycznie w regionie dominowało, ale także geolodzy, biolodzy, inżynierowie, architekci, geografowie, historycy, muzealnicy, nauczyciele i wykładowcy akademicy. Stowarzyszenie to wzorcowy przykład obywatelskiej aktywności na rzecz promocji regionu, zachowania dziedzictwa górniczego, integracji mieszkańców. Jego członkowie budują edukacyjne szlaki turystyczne, muzea i centra interpretacyjne, np. osadnictwa rolniczego czy krajobrazu górniczego. Organizują wykłady, wycieczki, prelekcje dla turystów i dla mieszkańców regionu, by w ten sposób przybliżyć im historię i specyfikę miejsc, w których żyją. Colectivo Proyecto Arrayanes chce stworzyć na obszarze górniczym Linares – La Carolina tzw. Strefę Dziedzictwa. Profesor Marek Lorenc, działając w Europejskiej Sieci Dziedzictwa Górniczego EUROPAMINES, (przekształconej w stowarzyszenie „EUROPAMINES Ltd.”) wielokrotnie odwiedzał Linares. Prowadził tam prelekcje i wykłady, ale także wspierał inicjatywy związane z kultywowaniem tradycji górniczych. Marek Lorenc od 1974 r., w PAN zajmował się geologią, a ściślej petrologią. Kiedy w 2002 r. został zatrudniony w Instytucie Budownictwa i Architektury Krajobrazu, skupił się na problematyce wykorzystania kamienia w architekturze, a równocześnie rozwijał swoją kolejną pasję: badanie podziemi, kopalń, krypt, lochów. Zaangażowanie i zjawstwo, z jakimi Marek Lorenc, profesor nauk technicznych w dyscyplinie górnictwo i geologia inżynierska, zajmuje się kopalniami, znalazło wdzięcznych odbiorców i partnerów w hiszpańskim niegdyś górnictwem stojącym regionie.


Na zdjęciu: przedstawiciele Zarządu: obok prof. Marka Lorenca po lewej stronie stoja prezes José Dueñas Molina i sekretarz Antonio Ángel Pérez Sánchez, natomiast po prawej stronie – skarbnik Francisco Molina Molina

w dżungli, ale sam lub tylko z kimś bliskim – podkreśla. Nie lubi tłumu, twierdzi, że jest samotnikiem i nie znosi spędów, konferencji, celebracji (manifestuje to nawet sposobem ubierania – na uczelni najczęściej widać go w czarnym t-shirtcie). A równocześnie to właśnie jego stowarzyszenie działające na rzecz zabezpieczenia dziedzictwa górniczego Hiszpanii honoruje specjalnym członkowskim certyfikatem. To on zakłada kolejne stowarzyszenia i kluby, organizuje i koordynuje współpracę UPWr z turecką uczelnią, a dla swoich studentów organizuje zamiast wprowadzającego wykładu wycieczkę śladem kamieni. To jemu przypadkiem spotkani ludzie oferują współpracę, stypendia, przyjaźń.

Spotkany przypadkiem na argentyńskiej pustyni *gaucho* zaprasza go do siebie na obiad. – Przyjeźdź tam – pokazuje i Lorenc jedzie 100 km od najbliższej

osady. Do starej hacjendy, bez prądu i jakichkolwiek wygod. Do rodziny, w której najstarszy syn ma 20 lat, a najmłodszy kilka tygodni. A kilkoro dzieci pomarło, bo taki jest los. Mają tylko to, co sami wyhodują, uprawią i zrobią. Kupują dwa razy w roku tylko to, co niezbędne, a czego sami nie są w stanie wytworzyć. I tych dwóch ludzi: *gaucho*, który nie ma pojęcia, co to jest Europa, bo jego świat kończy się na skraju pola, i ten dziwaczny *gringo*, który objechał pół świata, a teraz z młotkiem biega po pustyni, siedzą przy biednym obiedzie i wiele godzin rozmawiają, mają sobie tyle do powiedzenia. A potem jeszcze argentyński *gaucho* obdarowuje polskiego geologa tym, co ma, choć ma niewiele...

Być może to wszystko nie dzieje się jednak przypadkiem, tylko wskutek tego, jaki jest Marek Lorenc. •



Tradycja i nowoczesność, czyli biblioteka akademicka



KSIĄŻKI MUSZĄ BYĆ W RUCHU

Jakie książki najczęściej wypożyczają studenci, co najbardziej boli bibliotekarza i dlaczego „odda ścianę w dobre ręce”, opowiada dyrektor Biblioteki Głównej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu – BARBARA BARAŃSKA-MALINOWSKA.

N Jest dyrektorem biblioteki uniwersyteckiej niecałe dwa lata, ale bibliotekarzem blisko trzydzieści, widać, że lubi swoją pracę i nowe wyzwania, kocha książki, a przestrzeń w bibliotece i czytelnici chce oddać czytelnikom, studentom.

Na nasze spotkanie i rozmowę o książkach, tych starszych, najstarszych, jakie posiada Uniwersytet, i tych nowszych, świeżo zamówionych i dopiero w planach – założyła kolczyki-książki.

– Kupiłam je na wycieczce szkoleniowej w jednej z niemieckich bibliotek. Zachwyliły mnie, bo są ręcznie wykonane, w środku mają prawdziwe kartki, każda ma inną obwolutę – uśmiecha się Barbara Barańska-Malinowska w odpowiedzi również na mój zachwyt.

Jest energiczna, zaangażowana i jak na bibliotekarza nowej ery przystało – wprowadza, ułatwia i popularyzuje dostęp do elektronicznych zbiorów, ale

prywatnie zachowuje sentyment do papieru i tradycyjnego czytania. – W domu też mam sporo książek, to chyba naturalne. Bardzo nie lubię korzystać na przykład z internetowych słowników, z papierowym mogę sobie usiąść, przeczytać, pomyśleć, przeanalizować.

Jak trafiła do biblioteki? – Muszę przyznać, że trochę przypadkiem. Mam przyjaciółkę, która od zawsze kocha książki, śledzi wszystkie nowości, w ogóle jest



aktywną i zaangażowaną kobietą. To ona wyszukała ogłoszenie w urzędzie pracy o wolnym etacie i tak dostałam pierwszą pracę w bibliotece – wspomina Barańska-Malinowska.

Pierwszego dnia w pierwszej pracy nie zapomina chyba nikt. – Po pierwsze pamiętam, że wszyscy powtarzali „Ojej, jaka młoda”, a po drugie, że pierwszym zadaniem, jakie otrzymałam, było katalogowanie książek. W zasadzie to nawet nie katalogowanie, tylko przepisywanie na maszynie kart katalogowych, żeby można je było włączyć do kartkowych katalogów. Byłam straszliwie zestresowana, bo jak się człowiek pomyli, pisząc na maszynie, to już ten błąd zostanie, nie da się go tak po prostu skasować jak na komputerze. Więc jak już mi się zdarzyła jakaś pomyłka, to chowałam te karty do kieszeni i zabierałam do domu, żeby nikt nie zauważył – śmieje się Barbara Barańska-Malinowska, dodając, że teraz młodzi ludzie rozpoczynający pracę

w bibliotece mają zupełnie inne podejście i inne problemy.

Teraz jest już mocno zakorzeniona w tym, co robi, wciąż ma głowę pełną planów i pomysłów, które chciałaby zrealizować. Bo najważniejsze, żeby biblioteka służyła użytkownikom, odpowiadała na ich potrzeby i była „trzecim miejscem” na uczelni, w którym stale przebywający czytelnicy dużo czytają, dużo wypożyczają, stale o „coś” pytają.

STUDENT – CZYTELNIK POSZUKUJĄCY

– Chciałabym nawiązać współpracę ze studenckimi kołami naukowymi. Jakiś czas temu zorganizowaliśmy ścianę wystawową, na której cyklicznie coś prezentujemy, na przykład stare kartki wielkanoce lub bożonarodzeniowe z różnych krajów. Między świętami ogłosiliśmy, że „ściana jest do wzięcia”, jeżeli studenci chcieliby na niej coś pokazać, zaprezentować, pochwalić się działalnością uczel-

nianą lub prywatną – to zapraszamy. Zgłosiło się Studenckie Koło Naukowe Kuchni Molekularnej – mają dużo fajnych pomysłów na zagospodarowanie ściany. Super! Czekamy na finał.

Z książek tradycyjnych, fizycznie obecnych w bibliotece największym zainteresowaniem cieszą się te potrzebne do studiowania. – Najczęściej wypożyczane są książki weterynaryjne – anatomia i patofizjologia zwierząt, atlasy chorób, badania kliniczne itp. Druga grupa to budownictwo, chemia, biochemia, fizjologia i biochemia roślin, gleboznawstwo, technologia żywności. Popularne są również książki napisane przez naszych uczelnianych naukowców – wylicza Barańska-Malinowska i dodaje: – Studentów można podzielić na dwie grupy: tych, co lubią szukać wszystkiego w Internecie, korzystać z elektronicznych wersji książek i czasopism, publikacji Open Access, i tych, którzy bardzo chętnie przyjdą do czytelni, wypożyczą książki, bo tu jest

cicho, nic ich nie rozprasza, nic nie kusi. Oczywiście jak tylko zbliża się sesja, zmiana semestru, początek roku akademickiego, pojawiają się tłumy.

W czytelni można również popracować nad grupowym projektem. – Przeorganizowaliśmy przestrzeń, żeby chociaż trochę oddzielić tych pracujących głośno, w grupach, od czytających i pracujących w ciszy. Moim marzeniem jest nowy budynek biblioteki, z funkcjonalną przestrzenią dla użytkowników, nowoczesny, niezbyt duży, ale przemyślany tak zwany pasywny, oszczędny, wykorzystujący na przykład energię słoneczną do ogrzewania pomieszczeń i inne możliwości współczesnego budownictwa. Budynek, w którym mogłyby funkcjonować: biblioteka, wydawnictwo i archiwum uczelni.

O ROBIENIU WÓDEK... CYFROWO

Bibliotece przybywa też cyfrowych wersji książek nie tylko tych najnowszych czy najczęściej wypożyczanych, do których przed sesją ustawiają się gigantyczne kolejki, lecz także starodruków (czyli powstałych między XVI a XVIII wiekiem). A Uniwersytet posiada ich całkiem sporo. Najstarszy, *Zielnik* Szymona Syreniusa, pochodzi z 1613 roku i jest fragmentem dzieła zakrojonego na wielką skalę, które miało obejmować całość ówczesnej wiedzy o przyrodzie martwej i żywej. W Dolnośląskiej Bibliotece Cyfrowej (DBC) w zasobach Uniwersytetu Przyrodniczego znaleźć można 4 starodruki i ponad 30 książek wydanych po 1800 roku, prawie 300 publikacji uniwersyteckiego wydawnictwa i 145 doktoratów.

I tu ciekawostka: najbardziej popularnym tytułem w DBC wydanym do 1856 roku jest *Wykład teoretyczno-praktyczny sztuki wyrabiania i pędzenia spirytusu, robienia wódek i likierów, oraz opis poprawnych i świeżo wynalezionych aparatów gorzelnich, sposobów urządzenia ognisk pod garncami i ozd do suszenia słoju* Adama Dunina z 1820 roku. Z pozycji tej skorzystało 3780 osób. W następnej w kolejności 324 razy czytano *Historję stołecznego królestw Galicyi i Lodomeryi miasta Lwowa od założenia jego aż do czasów terażniejszych* Ignacego Chodnickiego z 1829 roku. Najbardziej

popularnym tytułem w DBC współcześnie wydanym jest monografia z 2012 roku autorstwa pracownika Uniwersytetu Przyrodniczego, Alicji Z. Kucharskiej, pt. *Związki aktywne owoców dereńia*. Z tej publikacji umieszczonej w DBC przed dwoma laty skorzystało do dzisiaj 168575 użytkowników. Gratulacje!

BIBLIOTEKA NOWOCZESNA

Dla tych, którzy uczą się głównie przy komputerze, idealnym narzędziem są elektroniczne wersje publikacji. Biblioteka umożliwia zdalny dostęp do swoich elektronicznych źródeł już nie tylko z komputerów podłączonych do sieci uczelnianej, lecz także z domu. Wystarczy założyć konto w bibliotece. Znakiem rozwiązaniem przy pisaniu referatów czy nauce do egzaminów jest e-czytelnia podręczników akademickich i książek naukowych w języku polskim – na platformie IBUK Libra. Biblioteka Główna Uniwersytetu Przyrodniczego wykupiła dostęp do 1321 tytułów e-książek. E-czytelnia to nowoczesny sposób udostępniania zbiorów. Nie tylko pozwala czytać książki, lecz umożliwia także zawiązaną pracę z e-książką przez całą dobę siedem dni w tygodniu, zarówno w bibliotece, jak i w domu za pomocą komputera, laptopa, tabletu czy

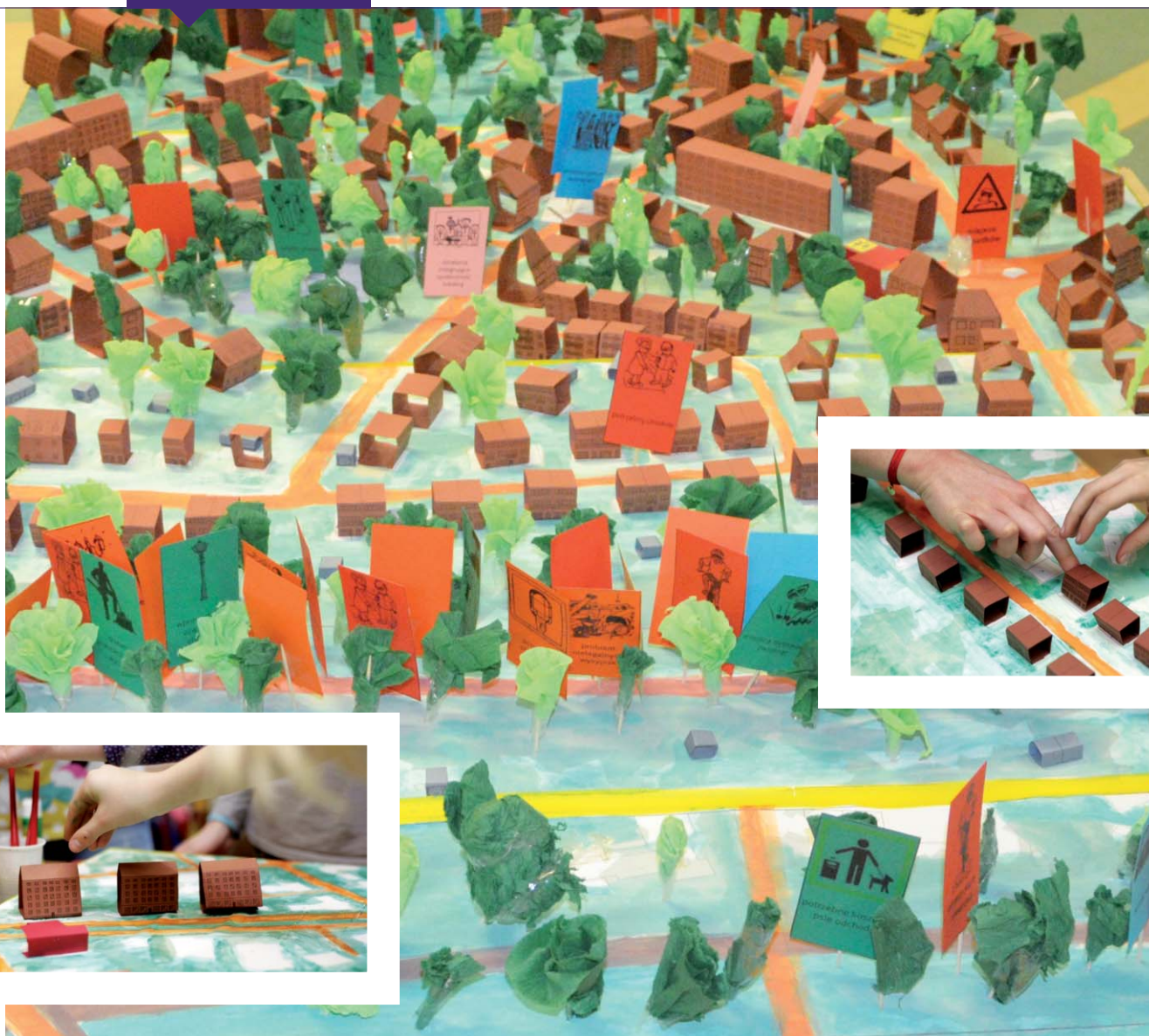
smartfona. Można stworzyć sobie własną wirtualną półkę, na którą trafiają aktualnie potrzebne nam tytuły, można zaznaczać i kopiować fragmenty książek i zapisywać osobno z automatycznie podłączoną bibliografią, nie trzeba kartkować za każdym razem w poszukiwaniu tego samego. Statystyka odwiedzin bibliotecznej witryny i korzystania z e-źródeł z domu jest zaskakująco wysoka (w 2014 roku odnotowaliśmy 270257 zapytań). Studenci pracują i korzystają z nich właściwie całą dobę, również w soboty i niedziele.

Praca bibliotekarza jest mrówczą pracą, mało widoczną, rzadko docenianą. Pomimo upływu lat i wielu zmian nadal utrzymuje się stereotyp bibliotekarza. A to już od dawna nie jest pani w szarym swetrze i kapciach, która tylko podaje i odbiera książki – o zawodowym stereotypie dyrektor Biblioteki Głównej wspomina raczej żartem, dodaje jednak, że nie wszystko się zmieniło: – Najbardziej mnie boli, jak chyba wszystkich bibliotekarzy od niepamiętnych czasów, kiedy sięgam do jakiejś książki bibliotecznej, a ona ma nierozcięte kartki.

Trochę żal. Książki przecież nie są od stania na półce, to już lepiej oddać je do introliigatora, żeby je oprawił, podkleił, ale niech te książki będą w ruchu! •



Najstarszą książką w bibliotece jest *Zielnik* z 1613 r.



PARTYCYPACJA, czyli nic o nas bez nas

Jeszcze nie tak dawno udział społeczeństwa w kształtowaniu przestrzeni ograniczał się do formalnego procesu. Mieszkańcy mieli możliwość zapoznania się z dokumentami planistycznymi, złożenia wniosków i oczekiwania na rozpatrzenie postulowanych zmian. Obecnie w kreowaniu przyszłej wizji rozwoju danego miejsca coraz częściej dochodzi do współpracy na linii władza–mieszkańcy.

To możliwe, bo zdajemy sobie sprawę, że nie da się dokonać pewnych zmian bez naszego aktywnego udziału – „Nic o nas bez nas”. Coraz popularniejsze stają się konsultacje społeczne, dzięki którym możliwe jest poznanie potrzeb mieszkańców oraz rozwiązanie problemów występujących w przestrzeni.

JAK SIĘ WŁĄCZAĆ?

Omawiając metody partycypacyjne, możemy mówić o **tradycyjnych** (opartych na moderowaniu procesu przez specjalistę, w konkretnym miejscu, czasie, z zaangażowaniem konkretnej społeczności) oraz **internetowych narzędziach partycypacji** (z wykorzystaniem systemów informacji geograficznej – tzw. technikami softGIS), czyli *Participatory Planning GIS* (PPGIS).

Jedną z tradycyjnych technik partycypacji jest „**Planning for Real**” (PFR), niedawno zastosowana w ramach wrocławskich warsztatów „Laboratoria Obywatelskie”. Projekt wykorzystywał elementy metody PFR, dzięki czemu możliwe było poznanie problemów i potrzeb mieszkańców poszczególnych osiedli. Uzyskane informacje posłużyły lokalnym liderom do napisania wniosków do Wrocławskiego Budżetu Obywatelskiego.

Twórczynią metody PFR jest Margaret Wilkinson, która z powodzeniem od prawie 30 lat stosuje ją w Wielkiej Brytanii. Próby przeprowadzania konsultacji społecznych w ten sposób podjęto niedawno w Turcji, we Włoszech, Francji oraz w Polsce. Tym, co odróżnia tę technikę od innych, jest obustronne zobowiązanie między władzą a mieszkańcami. Wiąże się to z posiadaniem oraz chęcią przekazania konkretnych środków na rewitalizację konkretnego obszaru przez władzę oraz zaangażowania lokalnej społeczności w te działania.

To wymaga konsultacji społecznych, trwających nawet rok. Proces charakteryzuje się kilkoma zasadami: solidarnością – ludzie pracują razem i wspólnie pokonują uciążliwości, demokracją – każdy ma prawo podnieść głos w sprawie rewitalizowanego obszaru, budową silnej i współodpowiedzialnej społeczności, jawnością procesu,

otwartością, szczerością, zaufaniem, integracją.

MAKIETA, KTÓRA ŁĄCZY

Metoda PFR wiąże się z wykorzystaniem wielu narzędzi. Jednym z nich jest praca na makiecie z wykorzystaniem kart potrzeb i problemów. Przy makiecie ludzie mają szansę na wyrażenie zdania bez obaw o krytykę. Patrzą tylko na makietę, co pozwala na skupienie się na narzędziu oraz wskazanie większości problemów występujących w przestrzeni. Nawet jeżeli ktoś nie potrafi przełamać się do dyskusji, to ten etap pozwala mu na zakomunikowanie problemu. Metoda ta integruje mieszkańców.

Sąsiedzi zaczynają współpracować i zobowiązują się do działań będących małymi cegiełkami w realizacji projektu. Każdy z nich ma bowiem coś do zaoferowania od najdrobniejszych umiejętności, np. pomalowanie płotu, po bardziej materialny wkład, jak sadzonki kwiatów. Ważne jest to, aby społeczność chciała ponieść ten koszt, bo bez zaangażowania i udziału rewitalizacja nie ma sensu.

KOŁO PEŁNE DYSKUSJI

Kolejną aktywną metodą partycypacji jest „**Study Circle**”. Polega ona na organizowaniu się niewielkiej grupy mieszkańców (6–9 osób), którzy spotykają się kilkakrotnie w celu omówienia wspólnych problemów w demokratyczny spo-

sób. Tworzy się pewnego rodzaju „koło”, gdzie w odróżnieniu od grupy dyskusyjnej, rozmowa prowadzona jest przez neutralnego moderatora. Jego zadaniem jest takie kierowanie dyskusją, by uczestnicy przeanalizowali dany temat. Mocną stroną metody jest tworzenie bliskich relacji między uczestnikami, dzięki czemu rodzą się pomysły oraz efektywnie rozwiązywane są problemy. Słabą – brak zaangażowania większej grupy mieszkańców, co w efekcie może utrudnić lub uniemożliwić osiągnięcie zamierzonego celu.

Metodę „Study Circle” zastosowano w Salzburgu (Austria), gdzie podczas *Traffic-Forum* dyskutowano o niezwykle kosztownym projekcie budowy tunelu przez górę Kapuzinerberg, mającym ograniczyć ruch samochodowy w mieście i promować transport przyjazny dla środowiska. Wówczas zmodyfikowano metodę, tworząc dwa koła: wewnętrzne, reprezentowane przez różne grupy interesu, m.in. pieszych, rowerzystów, osoby korzystające z transportu miejskiego, kierowców aut osobowych, ochrony środowiska, zdrowia, bezpieczeństwa, oraz zewnętrzne: przedstawicieli administracji publicznej, polityków, ekspertów. Był to nadzwyczajny wolontariat, na który uczestnicy poświęcili ponad 1000 godzin. Spotykano się przez 13 miesięcy, co trzy tygodnie. W efekcie powstał dokument, w którym



Warsztaty prowadzone przez Studenckie Koło Naukowe „PUZZLE”

zapisano cały proces konsultacji oraz jej wyniki, stanowiące rekomendacje dla rady miejskiej. Prawie wszystkie zalecenia zostały przyjęte w oficjalnej „Polityce ruchu samochodowego miasta Salzburg”.

A MOŻE BY TAK ZAGRAĆ W KARTY?

Metodę DEMOCS (DEliberative Meetings of CitizenS) opracowała New Economics Foundation (NEF), której celem jest poprawa jakości życia poprzez promowanie innowacyjnych rozwiązań w aspektach gospodarczym, ochrony środowiska oraz społecznym. Podczas konsultacji wykorzystuje się gotowe scenariusze warsztatów i przygotowane „karty rozmowy”, służące do prowadzenia dyskusji na temat ważnych, kontrowersyjnych lokalnych problemów. Proces trwa około dwóch godzin, bierze w nim udział zespół złożony z sześciu do ośmiu pełnoletnich osób. Metoda jest elastyczna, nie ma przeciwwskazań do zwiększenia liczby uczestników czy wydłużenia czasu dyskusji. Technika jest swoistego rodzaju grą, podczas której uczestnicy wybierają jedną lub dwie karty z problemami, ich zdaniem najważniejszymi. Odczytuje się je i tłumaczy, dlaczego dokonano takiego wyboru oraz odkłada na stole. Kolejnym etapem jest segregacja kart reprezentujących istotne problemy. Gra dobiega końca w momencie ustalenia stanowiska (np. metodą głosowania). Zaletą metody jest możliwość udziału każdej zainteresowanej osoby. Słabością – problem osiągnięcia rozwiązania po jednym spotkaniu, a także łączenie ekspertów oraz obywateli w ramach jednej sesji, co może prowadzić do dominacji jednych nad drugimi. W Szkocji zmodyfikowana postać „kart rozmowy” stanowi demokratyczną innowację w pro-



Praca metodą „Planning for Real” podczas warsztatów „Laboratoria Obywatelskie”

wadzonej kampanii pod hasłem „Scotland loves democracy, do you?”.

Cel jest prosty: zachęcić do angażowania się społeczeństwa we wspólne myślenie o państwie. Służyć ma temu „Wee Play” – absorbująca i informująca gra w karty, zaprojektowana tak, aby wszyscy mogli w niej uczestniczyć niezależnie od miejsca. Jej format pozwala na to, aby każdy miał możliwość poznania i omówienia problemów naukowych, politycznych i etycznych. Potrzeba jedynie sześciu do ośmiu osób, stołu, półtoręj do dwóch godzin czasu oraz oczywiście talii kart „Wee Play”. Pilotażowa gra wzbudziła zainteresowanie szkół, studentów, grup kościelnych oraz partii politycznych.

DELIBERACJA POZYTYWNA

Kolejną metodą konsultacji społecznych jest **sondaż deliberatywny**. Technika polega na zebraniu poglądów osób, które posiadają przynajmniej podstawową wiedzę na temat konkretnej sprawy. Opinie zbierane są dwukrotnie. Pierwszy raz przed udostępnie-

niem pakietu informacji, debatą publiczną oraz spotkaniami z ekspertami i politykami, drugi raz – po etapie informowania i dyskusji. Przedstawione poglądy są poddawane analizie porównawczej, a wyniki podaje się do publicznej wiadomości. Metoda ukazuje, jak ważne jest informowanie społeczeństwa oraz jak znaczącą rolę w konsultacjach społecznych odgrywa debata publiczna.

Sondaż deliberatywny zastosowano po raz pierwszy w Polsce w 2009 roku w Poznaniu. Reprezentatywną grupę zaproszono na spotkanie dotyczące alternatywnych wizji zagospodarowania stadionu modernizowanego na UEFA Euro 2012. Mieszkańcy otrzymali materiały informacyjne na tydzień przed dyskusją o przyszłości stadionu. Podczas debaty istniała możliwość wyrażania opinii na temat kwestii poddanych deliberacji. Służyć temu miały też wypełniane indywidualnie anonimowe kwestionariusze (po dyskusji). Pozwoliło to na zaobserwowanie różnic w opiniach, wynikające z dostępu do informacji i kontaktu z osobami o odmiennym punkcie widzenia.

Od niedawna w procesie planowania oraz kształtowania przestrzeni wykorzystuje się systemy informacji przestrzennej. Metody te mogą posłużyć do pozytywności danych na temat przyrody w mieście, zgłaszania problemów w przestrzeni miejskiej, planowania przestrzennego czy rewitalizacji. Coraz częściej mówi się o narzędziach typu **PPGIS – Participatory Planning GIS** lub **softGIS**, które pozwalają na partycypacyjne zarządzanie zasobami w mieście.

Przykładem wykorzystania narzędzi softGIS jest uruchomiona w Filadelfii

STUDENCKIE LABORATORIA

Studenci piątego roku gospodarki przestrzennej, studiujący specjalność zarządzanie przestrzenią w ramach projektu „Laboratoria Obywatelskie” uczestniczyli w warsztatach na pięciu wrocławskich osiedlach: Oporowie, Brochowie, Szczepinie, Borku, Biskupinie-Sępolnie-Dąbju-Bartoszewicach – gdzie prowadzono konsultacje społeczne związane z drugim naborem wniosków do Wrocławskiego Budżetu Obywatelskiego. Warsztaty prowadzone były w oparciu o metodę „Planning for Real”. Na nasz grunt przeszczepił ją Instytut Rozwoju Terytorialnego we Wrocławiu (IRT). Lokalnych liderów z pięciu osiedli, którzy zgłosili się do projektu, wsparł magistrat i Towarzystwo Urbanistów Polskich (TUP).

Na 3125 projektów zgłoszonych w ramach Wrocławskiego Budżetu Obywatelskiego w 2014 r. głosowało ponad 154 tys. 300 osób, w tym ponad 128 tys. przez Internet. Najwięcej głosów zdobył projekt o nazwie „Rowerowy Wrocław – bezpieczne trasy rowerowe w centrum”, bo aż 15925. W 2014 r. WBO wyniósł 20 mln zł.

wersja OpenTreeMap: obywatele mają możliwość dodawania lokalizacji drzew wraz z określeniem ich gatunku, rozmiarów, kondycji czy innych cech. Aplikacja umożliwia też wycenę wartości ekosystemów, dzięki czemu mieszkańcy mają większą świadomość, jakie korzyści odnoszą dzięki drzewom. W efekcie możliwe jest pielęgnowanie oraz objęcie ochroną części z nich.

Popularne stają się systemy do zgłaszania problemów występujących w przestrzeni, takich jak usterki infrastruktury, czego przykładem może być brytyjski FixMyStreet. Wśród polskich odpowiedników możemy wymienić Naprawimy To, Interwencje-Poznań, Mapę Porządku w Gdańsku czy Elektroniczny System Informacji Miejskiej w Raciborzu. Zgłaszane problemy dotyczą bezprawnej wycinki drzew, niszczenia zieleni czy lokalizacji nielegalnych wysypisk śmieci. Dzięki takim programom, mieszkańcy chętniej dbają o przestrzeń oraz baczniej zwracają uwagę na to, co się w niej dzieje. A to zwiększa także zaufanie na linii władza–mieszkańcy.

Oprócz bieżącego zarządzania przyrodą w mieście, ważne jest prowadzenie badań jakości przestrzeni, przydatnych w urzędowaniu nowych terenów zielonych czy w działaniach planistycznych lub rewitalizacyjnych. Do analizy można posłużyć się Geoankietami, czyli jedną z metod SoftGIS.

Na podstawie dokonanych ocen jakości przestrzeni przez mieszkańców można skonstruować wskaźnik postrzegania jakości miejsca zamieszkania – pojedynczy lub odnoszący się do różnych aspektów środowiska. Uzyskane wartości wskaźników mogą posłużyć do wskazania dzielnic miasta, które wymagają zazielenienia, utworzenia miejsc spotkań, rekreacji czy aktywności fizycznej.

Zaletą partycypacyjnych systemów informacji geograficznej jest nie tylko zbieranie danych od mieszkańców czy poznanie ich opinii na temat jakości życia w danej przestrzeni. Możliwy jest również udział osób zainteresowanych w dyskusjach czy konsultacjach przy takich projektach, jak miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego. Jednymi z prostszych zastosowań partycypacyjnego GIS-u są umieszczane na interaktywnych mapach warstwy, gdzie można nanosić uwagi i komentarze do

O AKTYWNOŚCI, BEZ KTÓREJ NIE MA SUKCESU

Prof. DANUTA PARYLAK,
prorektor do spraw studenckich i kształcenia

Statystycznie dzisiejsi studenci są od swoich poprzedników mniej aktywni, mniej skłonni do udziału we wspólnych przedsięwzięciach, ba, nawet mniej rozrywkowi – co najlepiej widać w akademikach i klubach studenckich, gdzie życie towarzyskie już tak nie kwitnie. A zaangażowanie w coś więcej niż tylko zaliczanie kolejnych semestrów i spędzanie czasu w wirtualnym świecie smartfonów czy tabletów, przynosi korzyści w wielu wymiarach. Poszerza horyzonty intelektualne, daje umiejętności społeczne, często odkrywa nowe obszary działalności. Kiedy na przykład przychodzą do mnie ludzie z samorządu studenckiego, z przyjemnością obserwuję, jakiej nabrali ogłady, umiejętności zachowania, nawet zrozumienia przydatności *savoir vivre*'u. Oni sobie doskonale później radzą w tej publicznej przestrzeni – obywatelskiej i instytucjonalnej.

Wcale nie jest tak, że tylko najlepsi studenci skupieni wyłącznie na nauce osiągają później zawodowy sukces. Natomiast z reguły ludzie, którzy podczas studiów byli aktywni na różnych innych polach, ten sukces osiągają. Mogłabym wskazać wiele ilustrujących to przykładów karier moich wychowanków. Studencka aktywność wyrabia otwartość, stymuluje kreatywność i – co może najważniejsze – uczy działania zespołowego, współpracy, ale także odpowiedzialności za własne i wspólne przedsięwzięcia. Jedną z największych słabości kapitału ludzkiego jest w tej chwili w Polsce brak zaufania i nieumiejętność współdziałania. Tymczasem to działanie grupowe i kooperatywność jest podstawą rozwoju cywilizacyjnego społeczeństw.

I dlatego cieszy mnie każdy rodzaj aktywności studentów i młodych pracowników UPWr. Działalność charytatywna stała się wyróżnikiem Uniwersytetu Przyrodniczego. Studentka piątego roku, pani EWA BIODROWSKA, zorganizowała grupę niesamowitych ludzi uczestniczących w projekcie rejestrowania się w bazie dawców szpiku. Genialna grupa, społecznie działająca, aktywna! A „Pijawka”, czyli nasi studenci krwiodawcy! Albo aktywni kulturalnie: studenci tańczący w Jedlinioku mają dodatkową frajdę, bo jeżdżą po całym świecie, ale już chórzyści, którzy spotykają się dwa razy w tygodniu po zajęciach i śpiewają – jakimi muszą być cudnymi pasjonatami. Proszę też zajrzeć wieczorem do Centrum Naukowo-Dydaktycznego – ćwiczą salsę. I przy okazji tworzą więzi, kształtują wspólnotowe nawyki, są radośni, bo aktywni. I jeszcze cała ważna grupa członków studenckich kół naukowych... Być może statystycznie dzisiejsi studenci są mniej aktywni, ale na szczęście na naszej uczelni są też inni. Pełni pasji, życzliwi do ludzi, wspaniali.



planu. Tworzy się tym samym „mapy argumentacyjne” (*argumentation maps*). Metoda staje się bardziej złożona w momencie stworzenia możliwości szkicowania planów. Mieszkańcy mogą tym samym wprowadzać nowe elementy do projektu, np. drogi, obszary zabudowy, czy określać ich cechy, jak powierzchnia biologicznie czynna. To pewnego rodzaju zabawa, która pozwala na zapoznanie się z preferencjami społeczeństwa, co może być przydatne w procesie tworzenia projektu.

POROZMAWIAMY. O NASZYM MIEŚCIE

Metody partycypacji społecznej przybierają coraz więcej wymiarów. Ale narzędzia internetowe nie zastąpią spotkań. Mogą być jednak skutecznym narzędziem do wizualizacji oraz komunikacji przy podejmowaniu decyzji. Zmie-

nia się tym samym spojrzenie mieszkańców na przestrzeń, w której żyją. Zauważają, że ich głos ma znaczenie. Brak odzewu w aspekcie prowadzonych zmian wiązać się będzie jedynie z nieuwzględnieniem potrzeb i problemów w ich najbliższym otoczeniu. Możliwe, że już niedługo przeprowadzanie konsultacji społecznych będzie jednym z obligatoryjnych działań w budżetach obywatelskich czy procesie rewitalizacji. Jest to również szansa dla planistów. W wielu krajach partycypacja społeczna coraz częściej przeprowadzana jest właśnie przez urbanistów. Jest to alternatywa dla osób, które nie chcą ograniczać pracy wyłącznie do tworzenia dokumentów planistycznych. Wzrost znaczenia konsultacji społecznych oraz systemów informacji geograficznej zwiększa szansę na ich stałe umiejscowienie nie tylko w życiu społecznym, ale i na rynku pracy. •

Rodzina Kopciów: z Wileńszczyzny do Wrocławia

SKARBY DOMOWEGO BIURKA

Gdy w 1837 roku ukazało się we Wrocławiu, w języku polskim, pierwsze wydanie *Dziennika podróży* brygadiera JÓZEFA KOPCIA, uczestnika insurekcji kościuszkowskiej, nikt nie przypuszczał, że w następnym stuleciu jego potomkowie osiedlą się we Wrocławiu i tutaj będą kultywować tradycje swojego rodu.



Mieczysław Kopeć*, wrocławski lekarz weterynarii, w prostej linii potomek słynnego brygadiera, przechowuje z pietyzmem rodzinne pamiątki przekazywane z syna na syna od pięciu pokoleń. Naj-

starsza z nich to cedrowy krzyżyk wykonany w XVIII wieku na Kamczatce przez Józefa Kopcia. Zachowała się również złota obrączka z napisem „Ojczyzna swojemu obrońcy” (znajduje się w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie), którą otrzymał od Tadeusza Kościuszki.

Po drugim rozbiorze Polski brygada, w której służył Józef Kopeć, znalazła się na terytorium Rosji i została wcielona do wojsk carscy Katarzyny. Gdy wybuchło powstanie kościuszkowskie, Kopeć przebił się ze swoją brygadą (wtedy był jeszcze dowódcą szwadronu) na stronę Polski, do wojsk Kościuszki. Trzeba było nie lada sprytu i wybiegów, ale zdol-

nemu oficerowi, a zarazem członkowi tajnego Związku Dobrych Polaków, ten manewr się powiódł. Otrzymał za to stopień wicebrygadiera i pochwały przełożonych. Z czasem stał się legendą tej wojny, przechodząc również do literatury jako bohater powieści Władysława Reymonta *Rok 1794*.

Kopeć wzmocnił siły naczelnika i wziął udział w kilku ważnych bitwach, awansując do stopnia generała brygady. Pod Maciejowicami, gdzie osłaniał Tadeusza Kościuskę, został ranny i wraz z nim wzięty do niewoli. Potem kibitka, bezkresne przestrzenie, Kamczatka. Po kilku latach, ułaskawiony przez cara Pawła I



U góry: Kamilla z Zasztowtów Kopciowa z dziećmi Stefanem, Feliksem, Józefem i Zofią, Wilno, około 1913 r.
Zdjęcie z lewej: Maria i Stefan Kopciowie z synem Bohdanem (w przyszłości profesorem Akademii Rolniczej we Wrocławiu), 1915 r.

(syna carycy Katarzyny) wrócił do kraju z bagażem niezwykłych obserwacji i wspomnień. Do spisania ich namówiła brygadiera Izabela Czartoryska, u której przez pewien czas rezydował i której przekazał wiele przywiezionych z zesłania pamiątek.

„Dziennik podróży Józefa Kopcia przez całą wzdłuż Azyą, lotem od portu Ochotska, oceanem przez Wyspy Kurylskie do niższej Kamczatki, a stamtąd na powrót do tegóż portu na psach i jeleniach. We Wrocławiu, drukiem M. Frydendera”

– tak brzmi w oryginalnej pisowni karta tytułowa pierwszego wydania. Wrocław znajdujący się daleko poza zasięgiem carskiej cenzury był wówczas znaczącym ośrodkiem wydawnictw polskich.

Dziennik podróży trafił wkrótce w ręce Adama Mickiewicza i wieszcz wprowadził Kopcia „do literatury z wielkimi honorami” – jak napisał Julian Krzyżanowski – poświęcając mu kilka lekcji w Collège de France. Wykpił to wprawdzie Aleksander Fredro nieprzychylny sądom Mickiewicza, ale w opinii większości naukowców *Dziennik podróży* Kopcia pozostają cennym źródłem wiedzy historycznej i etnograficznej oraz pierwszym dziełem literatury zsyłkowej. Doczekały się wielu wydań, ostatnie z 1995 roku ukazało się znowu we Wrocławiu, przygotowane przez ANTONIEGO KUCZYŃSKIEGO i ZBIGNIEWA WÓJCIKA.

Ostatnie lata życia spędził Józef Kopeć w swoim majątku Luszniewo (dawniej Wileńszczyzna, obecnie Białoruś), gdzie cieszył się opinią człowieka poważanego, lubianego i bardzo towarzyskiego. Według rodzinnych przekazów zmarł w zimowy dzień, oczekując na ganku przybywających właśnie gości. Został pochowany w Luszniewie, w kaplicy rodziny Kopciów.

– W latach 20. mój dziadek wybrał się tam ze swoją siostrą. Z kaplicy grobowej pozostały tylko fundamenty, ale spotkał staruszkę, która pamiętała jeszcze syna generała. Opowiadała, że jak przekopywano ziemię na cmentarzu, to wyciągnięto srebrne galony z munduru. Prawdopodobnie były to szczątki generała – mówi Mieczysław Kopeć. Ostatnio nawiązał kontakt z Muzeum Historyczno-Krajoznawczym w Brasławiu, w pobliżu którego położone jest Luszniewo. Dowiedział się, że pamięć o generale jest tam żywa, muzeum posiada niewielką kolekcję publikacji na jego temat, a w 2004 roku planowane jest na Białorusi wydanie *Dziennika podróży* Józefa Kopcia w przekładzie na język białoruski**.

STOKROTNIE W BUZIAKI

Ród Kopciów herbu Kroje wywodzi się od ruskich bojarów. Za panowania Iwana Groźnego przenieśli się do Wielkiego Księstwa Litewskiego, gdzie przez

wiele wieków piastowali dostojne urzędy i z najpierwszymi rodzinami w związku wchodzili. Znany jest Bazyli Kopeć – sygnatariusz umów w Krewie, delegat województwa połockiego, był również Kopeć pisarzem Kazimierza Jagiellończyka, był i marszałek królewski w XVI wieku, byli Kopciowie dworzanami, wojewodami, senatorami. Podają to herbarze, przekazuje tradycja.

– W tym biurku są tylko rodzinne pamiątki – mówi Mieczysław Kopeć, otwierając szuflady prostego mebla z czasów Gomułki. Wydobywa starannie opracowane zeszyty, posegregowane i opisane listy, kronikę rodu i zamknięty w drewnianej skrzyneczce krzyż z Kamczatki. Oprócz niego zachowało się po generale Kopciu zaproszenie na bal i kilka listów. Na przykład taki:

„Odsyłając dzieła łączę wyrazy wdzięczności. (...) Ośmielam się przekazać życzenia i błogostawieństwo dla tak godnego współrodaka. (...) Uczucia prawdziwego poważania, co zawsze Jaśnie Panu Dobrodziejowi zachowywać będę”.

Napisała to w 1824 roku Cecylia Beydale, jedno z kilkorga nieślubnych dzieci Izabeli Czartoryskiej (a miała je księżna i ze Stanisławem Augustem, i ambasadorem francuskim, i ambasadorem rosyjskim). Rękopis *Dziennika podróży* ofiarował autor księżnej Izabeli, aktywnej

również w pomnażaniu i kolekcjonowaniu dóbr kultury. Znajduje się on obecnie w zbiorach Czartoryskich w Krakowie. Ale syn generała, też Józef, sporządził odpis oryginału i ten przechowywany jest w biurku pana Mieczysława Kopcia. Czytamy dedykację:

„Poświęca Cieniom Czcii Najgodniejszego Ojca – syn Józef Kopeć”.

Równe, kaligraficzne pismo sprzed prawie dwóch wieków.

W połowie XIX wieku władze carskie odebrały Kopciom rodzinny majątek Luszniewo. Stanisław, wnuk generała, podjął więc pracę urzędnika na kolei i osiedlił się w Briańsku. Tam poznał Kamillę, pannę dobrze urodzoną i majątną, ze znanego na Litwie rodu Zasztowtów. Zakochali się w sobie bez pamięci. Ojciec Kamilli uznał jednak Stanisława za niegodnego jej ręki, wobec czego chłopak wykradł dziewczynę, a ona wykraść się dała. Rozgniewany senior rodu córkę wydziedziczył i nie zmienił swego zdania do końca życia. Młodzi się pobrali, żyli długo i szczęśliwie, mieli troje dzieci, a gdy w domu panował niedostatek, Kamilla udzielała lekcji gry na fortepianie i uczyła języków obcych.

„Najukochańsza Kamciu

– czytamy list Stanisława do żony
– uściskam cię serdecznie i całuję
stokrotnie w buziaki w nasze usteczka,
myśli moje zawsze przy was”.

I list do syna Stefana (nie krył ojciec czułości: *Najdroższy Stefusieczku, Drogi Mój Stefusiu* pisał do dziecka) z 1897 roku na firmowym papierze „Rigo-Orłowski” kolei:

„Posyłamy wam pierożki, napisz jak wasze zdrowie. Kochajcie się nie kłóćcie, życie w zgodzie. Staraj uczyć się, święta niedaleko. Posyłam wam rubla podzielcie się po połowie. Uściskam cię i błogostawię twój ojciec Stanisław”.

Wrzało rewolucyjnie, prawdopodobnie był to rok 1905, gdy adresat tego listu, Stefan, szedł w mundurze ulicami Wilna. Przypadkiem znalazł się między pochodem demonstrantów a oddziałem wojska. Usłyszał komendę dowódcy: „Cel!” i zobaczył, że żołnierze kierują broń do tłumu. Stefan był starszy stopniem od ich dowódcy, więc długo się nie zastanawiając, krzyknął: „W tył zwrot, do koszar marsz!”. Wojsko posłuchało



Mieczysław Kopeć z żoną Stefanią i synem Pawłem, Wrocław, 1976 r.

rozroku. Przypadkowemu komendantowi na sucho to jednak nie uszło. Tylko dzięki interwencji rodziny nie został zesłany na Sybir, a jedynie wydalony z kraju. Wyjechał do Ameryki. Tam poznał przysłą żonę Marię, działaczkę PPS-u, która również musiała opuścić kraj ze względów politycznych. Oboje zarabiali na życie pracą fizyczną. Wrócili w rodzinne strony, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa. Stefan został dowódcą pociągu sanitarnego (z tego okresu zachowało się sporo amatorskich zdjęć wykonanych przez Stefana, fotografa z zamiłowaniem). Związany był z PPS-em, podobnie jak żona, gdy więc weszli bolszewicy, usiłowano go zrobić komisarzem ludowym. Uciekł przed tą funkcją do Polski przebrany za białoruskiego chłopca.

Pan Mieczysław otwiera pamiętnik swojego dziadka, Stefana. Czytamy zapis z 1 stycznia 1900 roku:

„Dziś 20-te stólecie, daj Boże, żeby było szczęśliwe, aby zajaśniała Rzeczpospolita. Nowy rok i stólecie zaczęło się wojną Anglo-Transwaalską i powstaniem w Indyach”.

ZDRADLIWY ZAPACH FIOŁKÓW

– To były czasy niezapomniane i heroiczne: studia, równocześnie praca w magistracie, a wieczorami codziennie bale – zwykł wspominać swoją młodość w Wilnie syn Stefana, Bohdan Kopeć, po wojnie profesor Akademii Rolniczej we Wrocławiu, dyrektor Instytutu Eko-

nomiki Rolnej. On również pisał pamiętnik – to już się stało rodzinną tradycją. Stąd wiadomo, jak się kończyły niektóre zabawy wileńskiej młodzieży. Otóż student Bohdan pojawił się pewnego razu na balu z narzeczoną, która przy dość głębokim dekolcie miała przypięty bukietek fiołków. Podszedł do niej jeden z kolegów i nachylił się z zamiarem powąchania kwiatów. Narzeczonego zareagował gniewnie: „Fioła to pan ma w głowie!”. Wystarczyło. Obrzą pierwszego stopnia. Kolega sprężył się, poprosił Bohdana na stronę: „Jutro przysyłę panu swoich sekundantów”. Skończyło się jednak na publicznym odczytaniu formuły przeprosin. Narzeczeństwo z „fiołkową” panną też się rozwiąło.

Gdy wybuchła druga wojna światowa, Bohdan Kopeć, młody asystent na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, został powołany do wojska. Opisuje w pamiętnikach dezorganizację i dezorientację, jaka panowała na Kresach Wschodnich po wkroczeniu Armii Czerwonej. Jego oddział, wycofując się przed naporem Rosjan, przekroczył granicę litewską. Został internowany. Ucieczkę z obozu zorganizowała mu znajoma, działaczka Polonii litewskiej w Kownie, u niej też przez pewien czas się ukrywał. Żegnając się przed wyjazdem do Wilna powiedział: „Wkrótce przyjadę się oświadczyć”.

– Mama – opowiada pan Mieczysław Kopeć, bo to byli właśnie jego rodzice – potraktowała to jako żart, bo wielu

już ratowanych przez nią oficerów składa takie deklaracje.

Ten jednak słowa dotrzymał i w listopadzie 1939 roku wzięli ślub. Niespełna 10 lat później z tobołkami i małym dzieckiem przyjechali do Wrocławia.

KARTKA ZE STAROBIELSKA

Wśród zdjęć rodzinnych zwraca uwagę fotografia kawalerzysty. To stryj Mieczysława Kopcia, Feliks, który służył w elitarnym Pułku Ułanów Krechowieckich. W 1921 roku pisał do siostry:

„Parę tygodni temu otrzymałem krzyż *Virtuti Militari* za wyprawę kijowską, z tej racji wieszam wam wszystkim, bo taką nagrodą nie tylko ja, ale i cała rodzina powinna się szczycić”.

Dalej opisuje pogrzeb pułkownika Mościckiego:

„Żałuj żeś nie była, bo parada była nadzwyczajna, nawet warszawiacy, którzy są przyzwyczajeni do wszelkich parad byli zachwyceni wspaniałością pogrzebu i wyglądem krechowiaków. Po pogrzebie byliśmy na kolacji u hr. Potockiej, gdzie bawiliśmy się do późna w nocy. Przed pogrzebem w Warszawie byliśmy na przyjęciu Naczelnika Państwa w Białymstoku. Ja z plutonem ułanów eskortowałem Naczelnika i jeździłem przed powozem po całym mieście. Otrzymaliśmy szalone owacje, a ja z plutonem zostałem obrzucony kwiatami przez szpalery gimnazjastek”.

Porucznikowi można było wróżyć karierę. Cóż, kiedy młody ułan zakochał się w pięknej modystce i ożenił się z nią wbrew przełożonym, którzy Marii, dziewczyny ze sklepu z kapelusznami, nie uznali za damę. A taki wymóg musiała spełniać żona oficera. Feliks Kopeć opuścił elitarny pułk i przeniósł się do Korpusu Ochrony Pogranicza. Gdy wybuchła wojna, był w randze pułkownika.

Biorę do ręki kartkę z datą 14 XII 1939, zapisaną ołówkiem, po rosyjsku. Adresowana jest do Marii Kopeć:

„Co słyhać w domu. Czy wszyscy zdrowi? Czy macie środki do życia? Jestem zdrowy. Przyślijcie mi ciepłą bieliznę, ciepłe buty, przybory do golenia. Z troską oczekuję wiadomości od was. Całuję serdecznie ciebie, Wandę i Józefa. Przy choince wspomnijcie o mnie...”

Adres nadawcy:

„Feliks Kopeć, ZSRR Starobielsk, skrzynka pocztowa nr 15”.

Po wojnie rodzina odnalazła jego nazwisko na listach katyńskich.

DZIEDZICZNE WZORCE

Kopeć był dzieckiem, gdy w 1948 roku przyjechał z rodzicami do Wrocławia. Został w nim sentyment do Wileńszczyzny, ale czuje się już wrocławianinem. Skończył tu weterynarię, pracuje w Pracowni Fizjologii i Patologii Rozrodu ZHW. Wyniesiony z domu patriotyzm i religijność ukierunkowały jego działalność społeczną i polityczną. W 1980 roku Solidarność, w czasie stanu wojennego struktury podziemne, przechowywanie archiwum związku, ukrywanie Jana Koziara poszukiwanego listem gończym, w ostatnich latach działalność we wrocławskim ZChN, przez dwie kadencje pełnienie funkcji prezesa tej partii – to wszystko wynikało z rodzinnej tradycji i wpojonego obowiązku wobec ojczyzny. W 1999 roku Mieczysław Kopeć założył Oddział Wrocławski Związku Szlachty Polskiej i pełnił w nim funkcję prezesa***.

Dlaczego powinniśmy pielęgnować pamięć o swoich przodkach, poznawać korzenie?

– Cechy przekazywane genetycznie z pokolenia na pokolenie mogą być do-

datnie i ujemne – odpowiada. – Jeśli się zna historię rodu, można pielęgnować i rozwijać cechy dodatnie. Bo skoro mój pradziadek był generałem, stryj walczył za Polskę, to ja powinienem postępować tak samo. Inaczej sprzenie-wierzam się tradycji, ciągłości rodu. Ród to nie tylko nazwisko, lecz także pewne wzorce zachowań.

Pan Mieczysław Kopeć chowa do biurka listy, pamiętniki, kronikę – rodzinną sagę, którą kiedyś przekazał jednemu ze swoich synów. Aby on i jego potomkowie dopisywali następne karty. •

* Mieczysław Kopeć zmarł 1 września 2014 roku. Od 2004 roku był kawalerem Zakonu Rycerskiego Bożego Grobu w Jerozolimie.

** Wydanie *Dziennika podróży* po Białorusku prawdopodobnie nie doszło do skutku. Natomiast w 2007 roku z inicjatywy Eulalii z Pietkiewiczów Laudańskiej, prezes Polskiej Macierzy Szkolnej w Braślawiu, tamtejsi Polacy postawili pomnik Józefa Kopcia na cmentarzu w Luszniewie, w miejscu zniszczonej kaplicy grobowej Kopciów.

*** Z funkcji prezesa Oddziału Wrocławskiego Związku Szlachty Polskiej zrezygnował w lutym 2014 roku. Obecnie pełni ją Adam Biliński.

POZNAJ WROCŁAWSKIE RODY!

Anna Fastnacht-Stupnicka *Sagę wrocławską* – opowieść o wrocławskich rodach, które do tego miasta rzucił wojenny los, po raz pierwszy wydała kilka lat temu. Teraz do rąk czytelników trafia wznowienie, uzupełnione i poprawione, i wciąż niezmiennie ciekawe. Autorka bowiem zaprasza nas w podróż przez historię Polski pisaną historią ludzi. Bohaterami jej portretów są dawni ziemianie, szlachta, polska inteligencja – skupiając w swoich losach jak w soczewce losy całego państwa. Bohaterowie *Sagi...* to również ludzie, którzy kształtowali powojenną historię Wrocławia, jego naukę i kulturę, przenosząc tradycję w nową rzeczywistość.



Dla naszych Czytelników mamy egzemplarz książki z dedykacją autorki. Wystarczy odpowiedzieć na pytanie „Kiedy odbyła się uroczysta inauguracja wrocławskich uczelni?”, a odpowiedź przysłać e-mailem do 30 czerwca na adres: katarzyna.kaczorowska@up.wroc.pl.

Rekordowa aukcja charytatywna i wielkie emocje



VI KONCERT NOWOROCZNY ZALICZAMY DO UDANYCH



Zespół Sierra Manta z chórem uczelni wykonali „Mszę Kreolską”



Grzegorz Dzik z żoną Alicją – jedni z darczyńców wrocławskiego hospicjum



Gwiazda wieczoru Edyta Geppert zaczarowała słuchaczy



Maria i Roman Kołaczowie, czyli rektor z małżonką, czuwają nad przebiegiem licytacji



Aukcję prowadził niezawodny Marek Obszarny



Prof. Danuta Parylak – przyda się wylicytowana lupa



Goście noworocznego koncertu nie zawiedli



Rektor Roman Kołacz zachęcał wszystkich do licytacji i cytował papieża Franciszka, przekonując do otwarcia serc i portfeli

Podczas VI Koncertu Noworocznego na tradycyjnej już aukcji charytatywnej zebrano rekordową sumę 49 800 zł. Na rzecz Wrocławskiego Hospicjum dla Dzieci zlicytowano 15 przedmiotów, które na ten cel przekazali m.in. Pierwsza Dama ANNA KOMOROWSKA, premier EWA KOPACZ, prezydent Wrocławia RAFAŁ DUTKIEWICZ, metropolita wrocławski arcybiskup JÓZEF KUPNY, kardynał HENRYK GULBINOWICZ i prezes PZPN ZBIGNIEW BONIEK.

– Hasło „Pomóż, póki jestem” jest jednym z najbardziej przejmujących, jakie zdarzyło mi się słyszeć. Ale kiedy wchodziłem tu do państwa, pomyślałem, że dzisiejszego wieczoru powinniśmy mieć nowe – „Pomóżmy, póki możemy” – tak dziennikarz Polskiego Radia Wrocław i telewizji MAREK OB-SZARNY zapowiedział aukcję. A potem temperatura rosnęła – były żarty, śmiechy i gromkie brawa dla licytujących wysoko i odważnie.

Prof. DANUTA PARYLAK wylicytowała ozdobną lupę od minister nauki i szkolnictwa wyższego prof. LENY KOLARSKIEJ-BOBIŃSKIEJ, prof. ALINA WIELICZKO z myślą o zięciu wywalczyła koszulkę Sebastiana Mili ze zwycięskiego meczu Polska–Niemcy w ramach eliminacji do mistrzostw Europy, natomiast kanclerz KRZYSZTOF GREMBOWSKI został właścicielem obrazu profesora wrocławskiej ASP ALOJZEGO GRZYTA pt. „papier-d”.

Najwięcej emocji wzbudziła licytacja obrazu, który na aukcję ofiarował kardynał Henryk Gulbinowicz. Dzieło TLMURA KARIMA trafiło w ręce GRZEGORZA DZIKA, konsula honorowego Ukrainy, prezesa firmy Impel, ale przede wszystkim przewodniczącego Rady Fundacji „Na Ratunek Dzieciom z Chorobą Nowotworową”, który przyznał nam, że nigdy nie licytuje najcenniejszych przedmiotów na aukcjach. Zwy-

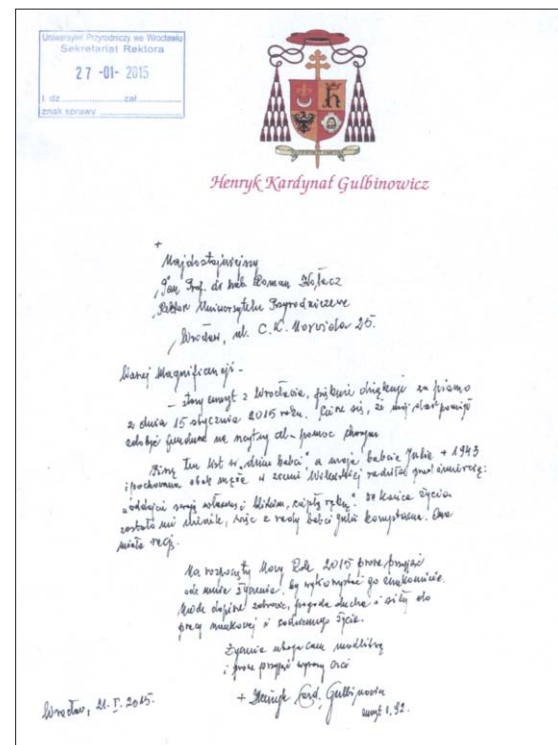
kle wybiera książki, bo tak naprawdę przedmioty licytacji ważniejszy jest jej cel, ale tym razem...

– Moja córeczka zmarła w wieku trzech lat. Połowę swojego życia spędziła w klinice. Nam się nie udało wygrać, ale do dziś pamiętam, jak żyjąca jeszcze wtedy prof. JANINA JAWORSKA, ówczesna szefowa kliniki zapytała mnie i moją żonę ALICJĘ, czy mimo tego doświadczenia zgodzimy się wejść do powstającej fundacji – mówił Grzegorz Dzik, który przyznaje, że wie, co czują rodzice walczący o swoje dziecko, i dlatego robi wszystko, by każda taka walka kończyła się zwycięstwem, a jeśli jest ono niemożliwe, by ten czas, jaki im pozostał, był pełen godności, zrozumienia i wsparcia. – Ostatecznie Grzegorz Dzik obraz od kardynała Gulbinowicza wylicytował za 15 tys. zł.

Wrocławskie hospicjum ma szczęście do bezinteresownych i zaangażowanych ludzi. JOLANTA BARAN i DALIDA TONDEL, obie już na emeryturze, są wolontariuszkami, bo jak mówią – w ich życiu przyszedł czas, żeby dać coś z siebie innym.

– Daję, ale też i biorę – mówiła Jolanta Baran podczas koncertu noworocznego.

W czasie aukcji zbierano też cegiełki ze sprzedaży katalogów – łącznie 6400 zł. Przypomnijmy, że w czasie ubiegłorocznego koncertu wylicytowano 31 tys. zł, a ze sprzedaży katalogów zebrano niecałe 6 tys.



List z podziękowaniami od Jego Eminencji kardynała Henryka Gulbinowicza

Gdy opadły aukcyjne emocje, przyszedł czas na wielki finał i gwiazdę wieczoru: koncert EDYTY GEPPERT, która do samego końca czekała ze swoim największym przebojem „Och życie, Kocham cię nad życie”. Gdy tylko ze sceny popłynęły pierwsze akordy, wśród publiczności dało się słyszeć westchnienia wielkiej ulgi i szepty „już się bałam”, „już myślałem, że się nie doczekam”. •



8 stycznia Składaliśmy sobie życzenia noworoczne. Była okazja do rozmów i wspólnego zdjęcia z władzami uczelni.

14 stycznia

W konkursie NCN Fuga 3 otrzymaliśmy dofinansowanie na dwa staże naukowe: dr ANNY MATCZUK (na zdjęciu poniżej) i dr ANNY MICHAŁSKIEJ (z prawej).



19 stycznia

Prof. JAN TWARDOŃ, w uznaniu zasług dla promocji miasta, został Honorowym Obywatelom Polanicy-Zdroju.



20 stycznia

Władze Uniwersytetu Przyrodniczego spotkały się z marszałkiem i wojewodą województwa opolskiego. Współpraca, którą nazwano „Nauka dla regionu”, ma wesprzeć merytorycznie biznes, rolnictwo i produkcję żywności.



21 stycznia

Prof. ANDRZEJ ZACHWIEJA dziekan Wydziału Biologii i Hodowli Zwierząt odebrał w Belwederze nominację profesorską.



27 stycznia

Grupa studentów i wykładowców z holenderskiej HAS Hogeschool przyjechała do Polski zobaczyć, jak u nas wyglądają rolnictwo i kształcenie w tym kierunku.

has
hogeschool

29 stycznia

Prof. TADEUSZ TRZISZKA został jednym z dwóch wiceprzewodniczących Polskiej Platformy Technologicznej Biogospodarki. W skład konsorcjum, walczącego o setki milionów złotych, wchodzi 60 firm, instytutów badawczych i uczelni z całego kraju.



22 stycznia

Prezydent Wrocławia powołał Radę ds. Ekologii i Zieleni, której członkami zostali dr ELŻBIETA SZOPIŃSKA, dendrolog z UPWR, i dr CZESŁAW SZCZEGIELNIAK, hydrolog, emerytowany pracownik naszej uczelni, obecnie wiceprezes Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT.



Działo się...

LUTY 2015



7 lutego

Była świetna zabawa, dużo śmiechu i oczywiście tańce – IX Bal Absolwenta wszyscy zapamiętają na długo.



9 lutego

Dr WITOLD ROHM wygrał konkurs ogłoszony wspólnie przez NCN i NCBR, co oznacza 750 tys. zł na komercjalizację wyników projektu „Tomografia GNSS jako istotne źródło danych meteorologicznych”.

13 lutego

Rektorzy wrocławskich uczelni wyższych podpisali list intencyjny dotyczący wspólnego promowania stolicy Dolnego Śląska jako centrum akademickiego.

18 lutego

Prof. ELŻBIETA PŁASKOWSKA otrzymała z rąk prezydenta RP Bronisława Komorowskiego nominację profesorską.

25 lutego

Naukowcy Uniwersytetu Przyrodniczego i Politechniki Wrocławskiej wraz z MPWiK prowadzą badania we Wrocławskiej Oczyszczalni Ścieków „Janówek” nad innowacyjnymi rozwiązaniami technologicznymi oczyszczania ścieków. Zakończono budowę instalacji, rozpoczynają się badania.



26 lutego

Drugi rocznik rozpoczął polsko-chińskie studia architektury krajobrazu na Wydziale Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji.





2 marca
 Na Akademickiej Gali Sportu wyróżnieni i nagrodzeni zostali najlepsi sportowcy-studenci z Dolnego Śląska, a wśród nich również nasi przedstawiciele: MONIKA BRZEŻNA, TOMASZ PAŁAMARZ, WOJCIECH PRACZYK i NATALIA SZYCHER.



MARZEC 2015



5 marca

V Szalona Studencka Noc Naukowa, czyli przedstawienia, przemówienia, tańce i śpiewy, historia bez cenzury, gotowanie od molekuł, gry planszowe i konsolowe, chomiki, gekony, zdjęcia i portrety, wiwaty i owacje na stojąco, jednym słowem – działo się.



5 marca

Zostaliśmy mistrzami uczelnianej promocji w konkursie Fundacji Perspektywy – jabłko UPWr uznano za najlepszy gadżet promocyjny.

28 lutego – 7 marca

Studenci SKN Planowania Przestrzennego „PUZZLE” spędzili tydzień w norweskim Lillehammer. Wyjazd był główną nagrodą w międzynarodowym konkursie „24hours Competition Project Schedule”.



10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31

12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31



19 marca

Prorektor prof. ANDRZEJ DRABIŃSKI podpisał porozumienie o współpracy z Klastrem Kamieniarskim ze Strzegomia.



8 kwietnia

Uniwersytet Przyrodniczy i Dolnośląski Zarząd Melioracji i Urządzeń Wodnych będą ze sobą współpracować. Porozumienie podpisali rektor ROMAN KOŁACZ i dyrektor JOANNA GUSTOWSKA.

11 kwietnia
Studenci biotechnologii zamienili ul. Kuźniczą w przenośne laboratorium – Ogólnopolskie Dni Biotechnologii po raz kolejny obchodzono pod hasłem „DNA – Encyklopedia Życia”.



20 marca

Drzwi Otwarte połączone ze Światowym Dniem Wody zgromadziły tłum przyszłych i obecnych studentów.

KWIECIEŃ 2015

14 kwietnia

W drugiej edycji programu „Mozart” wzięło udział naszych trzech naukowców: dr JOANNA CHMIELEWSKA, dr EWA TOMASZEWSKA-CIOSK i dr JAROSŁAW DĄBROWSKI. Konferencja podsumowująca projekty odbyła się w EIT+.



17-19 kwietnia

Na placu Grunwaldzkim stało 37 wozów z jedzeniem, zwanych foodtrackami. Frekwencja dopisała, było pysznie.



27 marca

„Studia w pigułce” – Wydział Przyrodniczo-Technologiczny zorganizował warsztaty dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych.



7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31

5 6 7 8 9 10 11 12
 13 14 15 16 17 18 19 20
 21 22 23 24 25 26 27 28
 29 30 31



20 kwietnia

W Pawłowicach odbyła się konferencja z cyklu „Nauka – praktyce”, na której rozważano kwestie transferu wiedzy z uczelni do gospodarki i rozwój przedsiębiorczości sektora rolno-żywnościowego.



21 kwietnia

Uniwersytet nawiązał współpracę z firmą Animex Foods, w której studenci będą mogli odbywać praktyki. Ze strony uczelni umowę podpisała prorektor ALINA WIELICZKO.



21 kwietnia

Obchody Dnia Ziemi miały wymiar oficjalny – po raz pierwszy wręczono dyplomy ukończenia studiów na kierunku Inżynieria i Gospodarka wodna, i praktyczny – studenci sprzątały okolice akademików. Nasza uczelnia podpisała też umowę o współpracy z Instytutem Meteorologii i Gospodarki Wodnej, reprezentowanym przez dyrektora dr. inż. RYSZARDA KOSIERBĘ.



8 9 10 11 18 19 20
 4 15 16 17 24 25 26 27



26 kwietnia

Studentki UPWr zostały mistrzyniami karate – na Akademickich Mistrzostwach Polski w kategoriach indywidualnych na podium stanęły MARTYNA ALBANOWSKA i BEATA ZIELIŃSKA, natomiast drużynowo medale otrzymały BERNADETA ROSSA, KINGA BERNAŚ, AGATA KUBALA.



26 kwietnia

Absolutorium Wydziału Medycyny Weterynaryjnej – absolwenci odebrali dyplomy ukończenia studiów, nagrody, wyróżnienia i gratulacje. Wystuchali też ostatniego wykładu.

1 2
 8 9
 15 16
 22 23
 29 30 31



UNIwersYTET
PRZYRODNICZY
WE WROCLAWIU



dni przyrodników
2015

Dni Przyrodników

29 maja 2015

Kampus na Biskupinie

Uniwersytet sportowo

od 8.30

- Bieg Przetajowy o Puchar Rektora

od 13.00

- zawody sportowe pracowników i studentów UPWr w SWFIS (tenis stołowy, wielobój siłowy, futsal)

30 maja 2015

Centrum Kształcenia Ustawicznego
w Pawłowicach
(ul. Pawłowicka 87/89, Wrocław)

Jarmark Pawłowicki

od 11.00

- kiermasze drzew i krzewów oraz wyrobów regionalnych i zdrowej żywności
- wystawa starych samochodów
- rodzinna gra terenowa w Arboretum
- *Kreatywna Lokomotywa* – zabawy dla dzieci

od 13.00

- prelekcja oraz koncert na misach i gongach
- prezentacje, degustacje, porady eksperckie
- konkursy, warsztaty plastyczne dla dzieci
- *Wszystko o chlebie* – konkurs wraz z degustacją wyrobów konkursowych
- *Nawarz piwa z biblioteką* – prezentacja książek i porady na temat domowego wyrobu piwa, wina i nalewek
- pokaz wspinaczki na wysokie drzewa, pokaz instruktorów fitness
- zabawy i testy językowe dla dzieci i dorosłych
- prezentacja fanfar i sygnałów łowieckich w wykonaniu Kół Łowieckich „REMIZA” oraz degustacja bigosu myśliwskiego

14.00 uroczyste otwarcie Jarmarku Pawłowickiego przez Rektora Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu prof. Romana Kotacza

od 15.00

- występy Zespołu Ludowego „ZGODA” i Zespołu Pieśni i Tańca „Jedliniak” połączone z warsztatami
- konkurs na najpiękniejszy damski kapelusz wiosenny
- krótka prelekcja *Wszystko o chlebie* oraz ogłoszenie wyników konkursu
- występ Reprezentacyjnej Orkiestry Wojsk Lądowych
- koncert muzyki myśliwskiej
- lot balonem
- wieczorek taneczny



Wstęp na imprezy jest wolny
Bezpłatny parking
w Pawłowicach

Informacje praktyczne

- dojazd mikrobusem z ul. Norwida do Centrum Kształcenia Ustawicznego w Pawłowicach (kurs co godzinę, od 11.00 do 17.00)



MAJ 2015

2 V So	19 ⁰⁰ 120 min.	Coppélia Léo Delibes SPEKTAKL BALETOWY – MUZYKA Z CD
5 V Wt	19 ⁰⁰ 120 min.	Jezioro łabędzie Piotr Czajkowski SPEKTAKL BALETOWY – MUZYKA Z CD
6 V Śr	19 ⁰⁰ 180 min.	Wesele Figara Wolfgang Amadeus Mozart
7 V Cz	19 ⁰⁰ 120 min.	Chopin Giacomo Orefice
8 V Pt	19 ⁰⁰ 180 min.	Cyganeria Giacomo Puccini
9 V So	19 ⁰⁰ 210 min.	Kawaler srebrnej róży Richard Strauss
10 V Nd	17 ⁰⁰ 160 min.	Straszny dwór Stanisław Moniuszko
12 V Wt	11 ⁰⁰ 180 min.	Samson i Dalila Camille Saint-Saëns
13 V Śr	19 ⁰⁰ 180 min.	Rigoletto Giuseppe Verdi
14 V Cz	19 ⁰⁰ 180 min.	Opowieści Hoffmanna Jacques Offenbach
15 V Pt	19 ⁰⁰ 180 min.	Traviata Giuseppe Verdi
16 V So	19 ⁰⁰ 180 min.	Borys Godunow Modest Musorgski
17 V Nd	17 ⁰⁰ 180 min.	Halka Stanisław Moniuszko
19 V Wt	11 ⁰⁰ , 13 ⁰⁰ 50 min.	Sid – wąż, który chciał śpiewać Malcolm Fox TAJEMNICZE KRÓLESTWO – OPERA DLA DZIECI
20 V Śr	19 ⁰⁰ 180 min.	Cyrulik sewilski Gioacchino Rossini
21 V Cz	19 ⁰⁰ 120 min.	Ognisty ptak Igor Strawiński Cudowny mandaryn Béla Bartók SPEKTAKL BALETOWY – MUZYKA Z CD
23 V So	19 ⁰⁰	GWIAZDY NOWOJORSKIEJ METROPOLITAN OPERA NA SCENIE OPERY WROCŁAWSKIEJ – NADZWYCZAJNA GALA OPEROWA – VIOLETA URMANA
24 V Nd	17 ⁰⁰ 180 min.	Carmen Georges Bizet
28 V Cz	19 ⁰⁰ 180 min.	Rycerskość wieśniacza Pietro Mascagni Pajace Ruggero Leoncavallo
30 V So	19 ⁰⁰	RISING PHOENIX BALLET GALA BALETOWA

TAURON LETNI FESTIWAL OPEROWY

LATAJĄCY HOLENDER

Richard Wagner

5, 6, 7, 12, 13, 14 CZERWCA 2015

MEGAWIDOWISKO OPEROWE NA WODZIE
PERGOLA, HALA STULECIA, WROCŁAW



Plakat T. Szymowski

OPERA WROCŁAWSKA CZERWIEC 2015 **LATAJĄCY HOLENDER** RICHARD WAGNER

KIEROWNICTWO MUZYCZNE, DYRYGENT
EWA MICHNIK

REŻYSERIA I SCENOGRAFIA
WALDEMAR ZAWODZIŃSKI

CZERWIEC 2015

17 VI Śr	19 ⁰⁰ 180 min.	Wesele Figara Wolfgang Amadeus Mozart
18 VI Cz	19 ⁰⁰ 180 min.	Carmen Georges Bizet
19 VI Pt	19 ⁰⁰ 180 min.	Nabucco Giuseppe Verdi
20 VI So	19 ⁰⁰ 120 min.	Jezioro łabędzie Piotr Czajkowski SPEKTAKL BALETOWY – MUZYKA Z CD

Bilety: tel. 71 370 88 80 | ul. Świdnicka 35 | tel. 71 370 88 18 | www.opera.wroclaw.pl | promocja@opera.wroclaw.pl

OFICJALNY SPONSOR
69. SEZONU OPERY WROCŁAWSKIEJ



SPONSOR STRATEGICZNY
OPERY WROCŁAWSKIEJ



SPONSORZY



BRĄZOWY SPONSOR



PATRONI MEDIALNI

